Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1890. Rok XIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

W sprawie ustawy łowieckiej.

(Ciąg dalszy.)

§. 15.

Pominąwszy te, z §. 13 i 14 wydarzyć się mogące wyjątki, mają być ustanowione polowania gminne w regule wydzierzawiane w drodze publicznej licytacyi najwięcej ofiarującemu.

Wyjątkowo mogą zawarte w ten sposób kontrakty o dzierzawę polowania gminnego, jeżeli odpowiadają postanowieniom tej ustawy, zostać na wniosek reprezentacyi gminnej (przełożonego obszarów dworskich) za zezwoleniem władzy politycznej, bez rozpisania publicznej licytacyi, przedłużone.

§. 16.

Czas trwania dzierzawy polowań gminnych (§§. 13, 14 i 15 alinea 1), ma w regule wynosić 10 lat.

Tylko wyjątkowo i dla ważnych powodów może być czas ten na przeciąg lat 6 zniżony lub też podwyższony na przeciąg lat 14.

Czas trwania wszystkich dzierzaw gminnych w obrębie politycznej władzy powiatowej winien być według możności jednakowy i równocześnie przypadający.

§. 17.

Oznaczone w §. 15. przedłużenie kontraktów o dzierzawę polowania gminnego, może być tylko wtedy ze strony politycznej władzy powiatowej dozwolone, jeżeli według wszelkiego prawdopodobieństwa nie uzyska się przy licytacyi polowania gminnego oferty wyższej, jak dotychczasowy czynsz dzierzawny, i jeżeli pozostawienie polowania gminnego w rękach dotychczasowego dzierzawcy leży w interesie należytego, odpowiadającego celowi, wykonywania polowania.

Przedłużenie dzierzawy nastąpić może tylko raz, i to dopiero po wydaniu edyktu stosownie do §. 11., jakoteż przed rozpisaniem licytacyi (§. 19.), i nie może pod żadnym warunkiem przekraczać czasu trwania lat 14.

§. 18.

Wydzierzawienie polowania gminnego przeprowadzane być ma przez polityczną władzę powiatową.

Akt wydzierzawienia zyskuje moc prawną wobec dzierzawy dopiero przez zatwierdzenie ze strony władzy politycznej.

Akt wydzierzawienia, a mianowicie protokół licytacyi, winny być według formularzy, przez władzę krajową ustanowić się mających, sporządzone.

§. 19.

Po wydaniu edyktu w myśl §. 11., i po ustanowieniu okręgu polowania gminnego na następujący peryod dzierzawy, najpóźniej jednak na sześć tygodni przed upływem istniejącego peryodu dzierzawy, rozpisać należy licytacyę polo-

wania gminnego w jednej z najbardziej w powiecie rozpowszechnionych gazet, a zarazem należy ogłosić takową w siedzibie politycznej władzy powiatowej, w odnośnej gminie, jakoteż w przyległych gminach i obszarach dworskich.

§. 20.

Osoby, które stosownie do §. 41. są od nabycia karty polowania wykluczone, dalej gminy, wyjąwszy w wypadku §. 7. alinea 2, względnie §§. 13. i 14., jakoteż wspomniane w §. 7. alinea 3 spółki, jako takie nie mogą być do dzierzawienia polowania gminnego dopuszczone. Wszystkie, przepis ten obchodzące kontrakty, są nieważne.

§. 21.

Dla każdego, na licytacyę wystawić się mającego polowania gminnego, winna polityczna władza powiatowa, stosownie do tegoż przestrzeni i położenia jakoteż stanu zwierzyny, ustanowić po przesłuchaniu reprezentacyi gminnej (przełożonego obszarów dworskich), a w razie potrzeby i znawców, najwyższą ilość osób, które dodatkowo od nabywcy, jako do wykonywania prawa polowania współuprawnione (spólnicy polowania), przyjęte być mogą, a prócz tego najwyższą ilość myśliwych, którzy w służbie lub też z polecenia dzierzawcy albo spólników polowania, polowanie wykonywać mogą.

Odnośne postanowienia winny być umieszczone w warunkach licytacyjnych.

Ilość gości polowania, t. j. owych trzecich osób, które w towarzystwie dzierzawcy lub spólnika polowania biorą udział przy polowaniach, pozostawiona jest uznaniu dzierzawcy, względnie porozumieniu jego z spólnikami polowania. Jako spólnicy polowania, jako goście albo myśliwi, mogą być tylko te osoby przypuszczone, które nie są od nabycia kart polowania wykluczone. Spólnicy polowania muszą być przez dzierzawcę do wiadomości władzy politycznej podani.

§. 22.

O ile ustanowiona w §. 21. najwyższa ilość co do spólników polowania nie jest przekroczoną, mogą także do dzierzawy polowań gminnych utworzone w tym celu spółki bezpośrednio być przypuszczone, pod warunkiem jednak, iż żaden z pojedyńczych członków spółki polowania nie jest od nabycia karty polowania wykluczony.

§. 23.

Każdy dzierzawca polowania gminnego winien w przeciągu 14 dni po zatwierdzeniu aktu wydzierzawienia, prócz ewentualnych kosztów licytacyi, złożyć dwuletni czynsz dzierzawny, z którego jedna połowa jako kaucya, druga zaś jako czynsz dzierzawny za rok pierwszy ma być uważana.

Kaucya służy jako zabezpieczenie za kary pieniężne, na które dzierzawca, odnośnie do wydzierzawionego polowania gminnego, zasądzony bywa, dalej za koszta, które pociągają za sobą czynności urzędowe przy wydzierzawianiu polowania gminnego, a do ponoszenia których dzierzawca jest obowiązany, nakoniec za wypełnienie zobowiązań ciążących na dzierzawcy na mocy kontraktu dzierzawnego.

Jeżeli kaucya zmniejszy się po nad roczny czynsz dzierzawy, to winna władza polityczna powiatowa wezwać dzierzawcę do uzupełnienia takowej do pierwotnej wysokości w przeciągu dni 14.

Kaucya składaną być ma w urzędzie podatkowym w gotówce w banknotach, papierach państwowych, lub też w innych, jako pewną hipotekę stanowiące, uznanych papierach wartościowych.

Kaucya wydaną zostanie dzierzawcy w cztery tygodnie po upływie czasu dzierzawy, o ile takowa do celów, na których zabezpieczenie służy, zatrzymaną nie zostanie, przez urząd podatkowy za asygnatą politycznej władzy powiatowej.

§. 24.

Roczny czynsz dzierzawy, a to czynsz za następne lata dzierzawne, na cztery tygodnie przed rozpoczęciem roku dzierzawy, składany być winien w regule na ręce zwierzchności gminnej.

Jeżeli do gminnego okręgu polowania zostały grunta, należące do obszaru dworskiego, przydzielone, to ma być czynsz dzierzawny składany w urzędzie podatkowym na ręce politycznej władzy powiatowej, która winna część przypadającą na grunta należące do obszaru dworskiego, wydać przełożonemu obszarów dworskich, a resztę zwierzchności gminnej. Przypadający na grunta dworskie, w stosunku do przestrzeni tychże, czynsz dzierzawny, winien być przez polityczną władzę, przy sposobności wydzierzawienia polowania gminnego, cyfrowo oznaczony.

Jeżeli czynsz dzierzawny w terminie oznaczonym złożony nie zostanie, winna polityczna władza powiatowa na doniesienie zwierzchności gminnej (przełożonego obszarów dworskich), wezwać dzierzawcę do zapłaty, z wyznaczeniem 14-dniowego terminu i pod zagrożeniem rozwiązania dzierzawy.

§. 25.

Czynsz dzierzawny za grunta gminne wpływa do kasy gminnej i ma być corocznie, na wyraźne żądanie pojedyńczych posiadaczy gruntów, do końca każdoczesnego bieżącego roku dzierzawy postawić się mające, tymże posiadaczom, w stosunku do objętości wcielonej do okręgu polowania gminnego posiadłości gruntowej, wypłacony. Jeżeli żądanie takie ze strony wszystkich albo też niektórych posiadaczy gruntowych aż do końca roku dzierzawy wniesione nie zostanie, to przepada ich udział na rzecz kasy gminnej.

§. 26.

Zadzierzawionego polowania nie wolno odstępować drugim osobom w poddzierzawę ani w części ani w całości. Natomiast może być za zgodą reprezentacyi gminnej i za przyzwoleniem politycznej władzy powiatowej wydzierzawione polowanie gminne trzeciemu, który według §. 20., jako dzierzawca przypuszczony być może, na pozostały peryod dzierzawy odstąpione.

Zamiana pojedyńczych części graniczących ze sobą okręgów polowania gminnego, dopuszczalną jest tylko za przyzwoleniem politycznej władzy powiatowej.

Przekroczenia powyższych postanowień podpadają karze według §. 86.

§. 27.

Wydzierzawienie polowania gminnego może być przez polityczną władzę powiatową jako rozwiązane uznane, jeżeli dzierzawca:

1) kaucyi lub uzupełnienia takowej, lub też czynszu dzierzawnego w terminie oznaczonym nie złoży, albo
2) warunki dzierzawy w sposób rażący narusza, albo
3) do przepisanych ustawą postanowień co do nadzorowania polowania się nie stosuje, albo
4) innych przekroczeń niniejszej ustawy powtórnie winnym się staje, albo
5) zdolność do nabywania karty polowania utraci.

Jeżeli wydzierzawienie polowania gminnego jako rozwiązane uznane zostanie, to winna polityczna władza po-

wiatowa na pozostały jeszcze czas dzierzawy przeprowadzić ponowne wydzierzawienie polowania gminnego w drodze licytacyi publicznej lub z wolnej ręki. Jeżeli zaś wydzierzawienie polowania w enklawach (§. 14.), jako rozwiazane uznane zostanie, to postąpić należy analogicznie według przepisów zawartych w §. 30. lit. 2. alinea 2 i 3.

W obydwu wypadkach odpowiada dotychczasowy dzierzawca za ewentualne koszta postępowania, — względnie za koszta ponownego wydzierzawienia jakoteż za ubytek czynszu dzierzawnego.

§. 28.

Zmiany, które zaszły we wcielonej do polowania gminnego posiadłości gruntowej już po upływie podanego w §. 11. terminu zgłoszenia, mogą w regule dopiero po ukończeniu dzierzawy, do której się odnosił termin zgłoszenia, przy sposobności następnego zgłoszenia być uwzględnione.

§. 29.

Jeżeli zatem we wcielonej do gminnego okręgu polowania posiadłości gruntowej, wskutek zmiany granic gminy, pewne zmiany nastąpią, to należy stosownie do § 28. owe przestrzenie gruntowe, które wskutek tego do innego okręgu polowania gminnego przydzielone zostały, z dotychczasowego okręgu polowania gminnego wyłączyć i wcielić takowe do nowego okręgu polowania gminnego, jednak dopiero w tym czasie, w którym kontrakty o dzierzawę polowania co do obydwóch dotychczasowych okręgów polowania gminnego się skończyły. Dalej, jeżeli uprawniony do samodzielnego polowania po myśli §. 5. lit. *b*, kompleks gruntu składa się z części należących do różnych okręgów polowania gminnego, których kontrakty o dzierzawę polowania w różnych terminach się kończą, i jeżeli w ciągu terminu zgłoszenia (§. 11.) wniesione zostanie żądanie względem uznania samodzielnego polowania co do jednej z tych części, która sama dla siebie samodzielnego polowania dla braku odpowiedniej przestrzeni nie uzasadnia, to ma być wprawdzie część ta jako samodzielny okręg polowania uznana, takowa jednak jeszcze tak długo, jako należąca do gminnego okręgu polowania ma być uważana, dopóki posiadacz owego kompleksu gruntu nie uzyska uznania samodzielnego prawa polowania co do tylu do innych polowań gminnych należących części tego kompleksu, aby części te razem wzięte tworzyły nieprzerwaną przestrzeń przynajmniej 115 hekt.

W razie przedłużenia istniejących kontraktów dzierzawy, nie zostaje zastosowanie powyższych postanowień tego paragrafu naruszone.

§. 30.

Wyjątki od zasady wyrażonej w §. 28. mają miejsce w wypadkach następujących:

1) Jeżeli podczas trwania dzierzawy polowania gminnego nastąpią zmiany w gruntach do gminnego polowania wcielonych przez założenie zwierzyńca lub przez zupełne zamknięcie przestrzeni gruntowych (§. 5. lit. *a*), to powstałe wskutek tego samodzielne polowania odpadają natychmiast z polowania gminnego. Za ten ubytek ma być dzierzawcy polowania na żądanie odpowiednie zniżenie czynszu dzierzawnego przyznane.
2) Jeżeli w czasie trwania dzierzawy polowania gminnego utraci samodzielny okręg polowania (§. 5) ten charakter w zupełności lub też co do pojedyńczych części, to winna polityczna władza powiatowa na żądanie reprezentacyi gminnej, dzierżawcy polowania albo też interesowanego właściciela, posiadacza gruntu, samodzielny okręg polowania względnie części tegoż wcielić do tego okręgu polowania gminnego, do którego zostałyby dotyczące przestrzenie gruntowe przydzielone, jeżeliby nie były należały do samodzielnego okręgu polowania. Jeżeliby wskutek tego przestała być enklawa od dotychczasowego samodzielnego okręgu polowania, którego posiadacz zrobił użytek z prawa § 14., w zupełności lub w dwóch trzecich częściach otoczoną, to należy enklawę tę także do właściwego okręgu polowania gminnego przydzielić, przyczem gaśnie też odnośny kontrakt dzierzawy. Zawarty w myśl §. 13. kontrakt dzierzawny nie bywa przez następne zmiany w samodzielnym okręgu polowania naruszony. Za powstały w myśl postanowienia pod l. 2 przyrost w gminnym okręgu polowania, ma być dzierzawcy polowania na żądanie reprezentacyi gminnej albo też interesowanego posiadacza gruntu przez polityczną władzę powiatową odpowiednie podwyższenie czynszu dzierzawnego nałożone.

§. 31.

Jeżeli wydzierzawienie polowania gminnego w drodze licytacyi uskutecznić się nie da, to mają być przez polityczną władzę powiatową na koszt gminny do zarządu polowaniem na rachunek gminy znawcy na tak długo ustanowieni, dopóki ponowne wydzierzawienie pomyślnego nie odniesie skutku.

Jeżeli polowanie gminne zawiera w sobie grunta należące do obszaru dworskiego, to należy ustanowić zarząd polowania w sposób w poprzedniej alinei oznaczony na rachunek gminy jakoteż obszaru dworskiego albo też części tegoż, a koszta jakoteż dochód z tego polowania mają być w stosunku do ustanowić się mającego podziału czynszu dzierzawnego rozdzielone. Koszta urosłe aż do każdoczesnego obliczenia i wyrównania pomiędzy gminą a obszarem dworskim albo częścią tegoż, które to czynności corocznie w miesiącu styczniu a względnie w ciągu czterech tygodni po ponownem wydzierzawieniu polowania, mają być przeprowadzone, — jakoteż i uzyskany do tego czasu dochód, winny przez stronę, która zastępstwo w razie wydzierzawienia polowania wykonuje, być pokryte i podjęte.

Jeżeli się wykaże stąd aż do ponownego wydzierzawienia za cały czas trwania zarządu polowania jaki czysty dochód na korzyść gminy, to do tego czystego dochodu mają być zastosowane przepisy §. 25., z tą jednak odmianą, iż wypłata udziałów z czystego dochodu na grunta gminne przypadających, żądaną być może w ciągu pierwszego roku ponownej dzierzawy.

§. 32.

Każdy posiadacz samodzielnego prawa polowania, jakoteż każdy dzierzawca polowania gminnego, obowiązany jest ustanowić do dozoru i ochrony polowania odpowiednią straż myśliwską (dozorców polowania), w ilości przez polityczną władzę powiatową oznaczyć się mającą, i dać ją po myśli odnośnych przepisów jako personal straży przeznaczonej do ochrony gałęzi kultury krajowej zatwierdzić i zaprzysiąc. Jeżeli nie zachodzą żadne przeszkody, mogą także wspomnieni posiadacze i dzierzawcy polowań, w razie jeżeli potrzebne przymioty posiadają, być sami jako dozorcy polowania zatwierdzeni i zaprzysiężeni.

§. 33.

Zatwierdzona i zaprzysiężona straż polowania, jeżeli działa w wykonywaniu swej służby, a przytem przepisane

na mocy ustawy z dnia 29. maja 1887 r. (Dz. u. kr. N. 42) odznaki służbowe nosi, ma być jako straż publiczna po myśli ustawy państwowej z dnia 16. lipca 1872 r. Dz. u. p. N. 84 uważana.

§. 34.

Zatwierdzona i zaprzysiężona straż polowania uprawnioną jest przy wykonywaniu swej służby do noszenia broni myśliwskiej jakoteż krótkiej szabli, której jednakże tylko w wypadku słusznej a koniecznej obrony używać może.

Wszelkich wezwań tej straży, uczynionych w pełnieniu służby, jest każdy słuchać obowiązany.

§. 35.

Oprócz w samodzielnych okręgach polowania w §. 5. lit. *a* oznaczonych, nie wolno nikomu bez karty polowania przez przynależną władzę wystawionej, polowania wykonywać.

Prócz tego przestrzegane być winny postanowienia cesarskiego patentu z dnia 24. października 1852 r. D. u. p. 223 o posiadaniu i noszeniu broni.

§. 36.

Do wystawienia karty polowania powołaną jest polityczna władza powiatowa, w której okręgu urzędowym starający się o kartę polowania na razie przebywa; wydawane być mogą także karty polowania i obcym, t. j. osobom w Galicyi nie zamieszkałym przez jedną z tamtejszych politycznych władz powiatowych.

§. 37.

Karta polowania ma być albo na jeden rok kalendarzowy, albo też na trzy po sobie idące lata kalendarzowe, wystawioną.

Karty polowania, które wydawane bywają zatwierdzonym i zaprzysiężonym dozorcom polowania w charakterze jako ustanowionym myśliwym, wystawione być winny na czas trwania ich stosunku służbowego u posiadającego prawo polowania.

§. 38.

Karta polowania ważną jest dla całej przestrzeni królestwa Galicyi, w wypadku zaś §. 37. alinea 2, tylko dla oznaczyć się mającego na karcie okręgu polowania, dla którego dozorca polowania jako myśliwy jest ustanowiony.

Karta polowania ważną jest tylko dla osoby, na której imię jest wystawiona, nie nadaje jednak upoważnienia do polowania bez przyzwolenia uprawnionego. Posiadający kartę, mają takową przy wykonywaniu polowania zawsze przy sobie nosić i na żądanie organom bezpieczeństwa okazać.

§. 39.

Za wystawienie jednorocznej karty polowania, uiszczoną ma być taksa w wysokości 5 złr., zaś za trzyletnią kartę polowania taksa w kwocie 15 złr. Taksy te wpływają do funduszu kultury krajowej.

Od uiszczenia taksy za wystawienie karty polowania uwolnieni są uczniowie szkół lasowych i praktykanci lasowi podczas studyów, względnie przez czas ich nauki.

Karty polowania, na podstawie §. 37. alinea 2. wystawiać się mające, nie podlegają opłacie taksy.

Wszystkie karty polowania podlegają przepisanemu ustawą obowiązkowi stemplowemu.

§. 40.

Wykonywanie polowania bez karty polowania i każde nadużycie tychże kart celem obejścia powyższych przepisów, a mianowicie używania kart już wygasłych lub też kart na cudze imię wystawionych i odstępywanie własnej karty komu innemu, karane być ma według §. 86.

§. 41.

Wydania karty polowania odmówić należy:

a) małoletnim, uczniom szkoły lasowej, kandydatom i pomocnikom lasowym, o ile o to nie proszą ojcowie lub opiekunowie, dyrekcya szkoły a względnie nauczyciel lub przełożony;
b) zarobnikom dziennym jakoteż ubogim, pobierającym wsparcie z zakładów dobroczynnych albo z funduszów gminnych;
c) umysłowo chorym lub opojom;
d) osobom, które pomimo, iż według przepisów ustawy karty na broń potrzebują, takową się jednak wykazać nie mogą;
e) karanym za zbrodnię przeciw bezpieczeństwu osób lub mienia, a to przez przeciąg czasu lat pięciu po ukończeniu kary;
f) osobom, które uznane zostały winnemi występku z §. 335 k. k. przeciw bezpieczeństwu życia z powodu nieostrożnego obchodzenia się z bronią palną albo przekroczeniem kradzieży lub też udziału w tejże, a to przez przeciąg czasu trzech lat po ukończeniu kary;
g) przez przeciąg dwóch lat tym, którzy za przekroczenie przepisów o ochronie zwierzyny powtórnie lub za przekroczenie przepisów o kartach polowania ukarani zostali.

§. 42.

Karta polowania ma być bez zwrócenia złożonej za takową taksy odebraną, jeżeli po wystawieniu takowej zajdzie przeciw osobie posiadacza lub dojdzie do wiadomości jeden z powyższych powodów wykluczenia (§. 41).

§. 43.

Karty polowania mają być według formularzy przez polityczną władzę krajową przepisać się mających, przez Wydział krajowy sporządzone i przez takowy corocznie przed rozpoczęciem następnego roku kalendarzowego politycznym władzom powiatowym rozsyłane. Co do wystawionych kart polowania winny polityczne władze powiatowe prowadzić dokładne zapiski i zapłacone taksy co kwartału, a prócz tego przy końcu roku także niezużyte karty polowania odsyłać do Wydziału krajowego. *(Dokończenie nastąpi).*

MARCINEK.

Na tle cudzych i swoich wspomnień

skreślił

ALEKSANDER UBYSZ.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz zbudziło mnie słońce, nie szparami wrót stodolanych, jak Tadeusza Mickiewiczowskiego, tylko całą swą twarzą przez zamarznięte szyby w twarz mi zaglądając. Towarzysz mój spał w najlepsze. Ja, ubrawszy się na prędce, począłem robić przegląd naszej sypialni, a osobliwie drugiego pokoju, w którym mieściła się zbrojownia rodziny tego domu.

Trzy ściany, od podłogi aż ku sufitowi, obite były grubem, jasno zielonem suknem. Tu szeregiem rozwieszona była sama broń „biała“, od starożytnych mieczy, stopniowo do wieku lub czasu, z największą znajomością rzeczy uporządkowana. Nie brakło tam karabel bojowych i paradnych, szabel z czasów Kościuszki i Napoleona o mosiężnych głowicach.

Na innej ścianie wisiało kilka łuków tatarskich, dwie starożytne strzelby lontem zapalane, karabin francuski, kilka pojedynek a nawet rzadkich w swoim czasie „dwururek“ — a wszystko o kurkach skałkowych. Kolekcyę kończyła broń nowoczesna, do owego 186... roku używana, pistonowa.

Z zachwytem przyglądałem się tym rzeczom cudownym. Zdejmowałem niektóre z kołków, przykładałem i t. p. — toż niezauważyłem, jak mnie znienacka zaszedł Marcinek.

— A, dzień dobry! Jak to poznać wieśniaka! Ranny ptaszek. Sylwerek to już od dzieciństwa miał tę pasyę, że w noc gawędziłby niewiedzieć jak długo, a za to spałby choćby do południa.

Wchodzimy do naszej sypialni; kawa stała już na stole.

— Widzi pan — rzekł do mnie Marcinek — przed świtem wstawszy, pojechałem z chartami na lisa. Ot, i uszczułem. Zaraz zbudzę śpiocha.

Rzekłszy to, począł kitą lisią łechtać po twarzy Sylwerego. Toż zerwał się z łóżka jak oparzony.

— A widzisz śpiochu! — wołał Marcinek. — „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje“. W dodatku chartami go złapałem.

— Jakto, macie charty? Przedtem ich nie było.

— Kupiłem od jakiegoś ekonoma na bruku. Biedak prosił się, żeby kupić. Więcej z litości niż z amatorstwa, kupiłem te „doskocze“, do których do niedawna nie miałem weny. Niezłe wreszcie psiska. Chart dobry do lisa, a suka nieźle ściga zające. Ubierajże się Sylwerku co żywo, bo przecież dziś niedziela, a wiesz, że babcia słucha mszy świętej w swej pokojowej kaplicy. Gdy była młodszą i zdrowszą, co święto i niedziela jeździła do naszego kościoła w miejscu. Gdy zaniemogła, za wstawieniem się proboszcza uzyskała arcybiskupie pozwolenie na urządzenie w drugim pokoju kaplicy. Mszę niekiedy sam proboszcz, a niekiedy wikary odprawia.

Ruszyliśmy ku owej kapliczce. Mieściła się tuż przy sypialni staruszki.

Zastaliśmy już mszę świętą. Odprawiał ją młodziutki wikary, a służył do mszy siwowłosy Marcinek. Sylwery snać poznał, jakie wrażenie zrobił na mnie ten widok w tych czasach niezwykły, bo szepnął mi:

— Marcinek od lat pięćdziesięciu, skoro tylko babcia lub nieboszczyk dziadek mój mszy słuchali, zawsze sam do niej służył.

Po krótkotrwałej cichej mszy, poprzedzeni przez staruszkę, którą podtrzymywał Marcinek, ruszyliśmy ku znanej już sali.

Jakże dziwne podobieństwo Sylwerego do swej babki! Te same, jakkolwiek przygasłe już, duże, błękitne oczy, — wzrost więcej niż średni. Wogóle cały wyraz twarzy pięknej, choć zgrzybiałej, odziedziczył wnuk. I ona w młodości bardzo piękną być musiała.

Ja znowu usadowiłem się koło Marcinka, w chęci uzyskania niektórych wyjaśnień.

— Wszystko tu, całe to wewnętrzne urządzenie domu jest zupełnie takie, jak było za ś. p. sędziego, ojca pani. Ot, widzisz pan po nad tym starym, zczerniałym dębowym kredensem w ścianę wbite rożki sarnie; pochodzą one od pierwszego kozła, którego pani nasza, jako kilkunastoletnia panienka, ubiła.

— Jakto? ona myśliwa? — zapytałem ze zdziwieniem.

— A to pan nic nie wiesz — odpowiedział Marcinek. — Była myśliwą i w dodatku dobrą, nigdy jednak nie przekraczając granic zakreślonych jej przez płeć. Mówią, że myśliwstwo przygłusza w kobiecie wszystkie niewieście uczucia. Nieprawda! O, gdyby każda z pań naszych, która polowanie co najmniej za śmieszność uważa, chociaż w dziesiątej części tak sumiennie, czule i nieskazitelnie, jak ot ta dziś staruszeczka, pełniła swe posłannictwo! Nie mówię morałów ani też panegiryku, dyktowanego przez wdzięczność. Proszę jednak spytać w całej okolicy. Nikt jej nie zwie inaczej, tylko „złotą panią“.

Po śniadaniu, obecni przy stole, porozchodzili się, Sylwery relacyonował babce o sprawach familijnych, więc dyskrecya wymagała pozostawić ich samych. Marcinek użył tej chwili i począł oprowadzać mnie po wszystkich pokojach domu.

Z sali prowadziły drzwi do pokoju bawialnego. Byłem, i niestety do dziś, do siwego włosa, zostałem entuzyastą. Zobaczywszy nagromadzone sprzęty z dawniejszych czasów, których takim jestem wielbicielem, omal nie krzyknąłem z podziwu.

Pokój ten do większych zaliczyć było można. Oświetlało go troje stosunkowo małych okien. Ściany obite były płótnem, na którem malowane były niezłym pęzlem pasterskie, olimpijskie, myśliwskie i rybackie sceny. Sufit usiany był różami. Wszystko zczerniało od czasu, mimo to poznałeś główne zarysy malowideł.

Nad dużym kominem wisiały portrety mężczyzny w granatowym kontuszu o amarantowych wyłogach — niezłego pęzla. Drugi portret przedstawiał kobietę, już w strój krojem francuskim przybraną. Suknia jej była biała, z stanikiem wedle mody ówczesnej niemal pod pachami. Stanik uwydatniał pasek barwy czerwonej, ciasno snać spięty, bo

wpił się w ciało. Strój głowy z wysoką koafiurą. Mężczyzna musiał być bardzo przystojny. Długi wąs zwisał mu z wargi. Wyglądał marcyalnie lecz nie zamaszyście. Kobieta mniej przystojną być musiała — o dość ostrych rysach, widocznie słabowita.

— To sędzia i jego żona, rodzice naszej pani.

Kanapa i coś dwanaście krzeseł, wszystko o cienkich wygiętych nogach z czarnej, imitującej heban dębiny, pokryte, jak dziś pamiętam, wełnianą ostrą materyą, na której puszyły się pawie.

Stolik przed kanapą był hebanowy, okrągły. Podtrzymywał go jeden słupek na trójkątnej spoczywający podstawie, którą znów podtrzymywały trzy lwie nogi złocone.

Komoda, niemniej hebanowa; antaby jej i tarczki, z dziurkami do włożenia klucza, były brązowe, w ogniu pozłacane.

Zwierciadła, jedno duże dwa mniejsze, mimo starości, bez plam, widocznie weneckie, jasno i naturalnie odbijające, o złoconych ramach, ze zwisającemi girlandami kwiatów.

Na komodzie stało mnóstwo większych i mniejszych filiżanek, kubków, dzbanuszków z prawdziwej saskiej porcelany, bo na dnach mieściły się znamiona fabryki, dwa na krzyż złożone miecze.

Między dwoma oknami stał klawikord o czarnych hebanowych klawiszach; klawisze, oznaczające wyższe tony, były z kości słoniowej.

— Od śmierci nieboszczyka męża pani zamilkł ten fortepian, prawdopodobnie na zawsze — rzekł z westchnieniem Marcinek. — Nieboszczyk pan prześlicznie grał na skrzypcach, pani mu na klawikordzie akompaniowała. Temi i innemi sposobami zapełniało sobie to nad życie miłujące się małżeństwo, swe dwadzieścia pięć lat trwające miodowe miesiące.

Zwiedziwszy wszystkie niemal sionki, garderóbki i korytarzyki, znaleźliśmy się naraz w sypialni staruszki.

— Sypialnia ta — mówił Marcinek — była wspólną za życia jej męża. Dziś, spojrz pan, łoże jak je opuścił przed wyjazdem do Włoch, gdzie życie zakończył, krepą żałobną okryte, nietknięte. Na tym klęczniku, co stoi przed łóżkiem, staruszka klęcząc, dwa razy dziennie odmawia modlitwy. Ten obraz w głowie wiszący, przedstawiający Chrystusa upadającego pod ciężarem krzyża, pani sama za panieńskich czasów malowała. A to ich portrety.

Teraz dopiero przekonałem się o wielkiem podobieństwie Sylwerego do swej babki. Portret dziadka przedstawiał mężczyznę o jasnych włosach i dużych smętnego wyrazu oczach. Przystojnym być musiał, tylko niewielkiego zdrowia. Każdy z patrzących wnetby się był chorego na piersi domyślił.

Oboje ubrani byli w stroje francuskie. Kobieta miała strój krojem wielce podobny do stroju swej matki, a mężczyzna w granatowym o metalowych guzikach fraku, z stojącym kołnierzem i bufami na ramionach, w białym, pod brodę sięgającym krawacie i sutymi żabotami u koszuli.

Łóżko staruszki nie musiało mieć pierzyn i piernatów; nader skromnie wyglądało.

— Tam — opowiadał dalej Marcinek — to kaplica, którą pan już poznałeś.

Otwarcie lecz ze wstydem wyznam czytelnikowi, że widok tej sypialni rozrzewnił mnie. Kogóż smętnie nie usposobi widok tych wszystkich pamiątek z takim pietyzmem przechowanych i wielbionych. Do razu poznałem charakter tej, że się wyrażę, świętej kobiety.

Wyszliśmy na dwór.

— To dawny główny ganek — tłumaczył Marcinek. — Nikt, prócz pani i mnie, tędy nie wychodzi. Brama, którą tam pan widzi, niegdyś była główną, czyli jak ją zwano, gościnną lub pańską. Tędy za życia nieboszczyka sędziego, a później za życia nieboszczyka pana, który miał imię Sylwery, liczni w odwiedziny zajeżdżali goście. Ostatnim, który wyjeżdżał tą bramą, był mąż staruszki. Od owej pory nikt tędy nie wjeżdżał ani wyjeżdżał. Bramę bowiem kazałem zabić, t. j. zamknąć wbitymi w ziemię palami. Po pewnym czasie samosiejki akacye, co obecnie w bujne wyrosły drzewa, pomogły do dopięcia tego zamysłu. To wszystko ja z własnego pomysłu zrobiłem.

Dom musiał być bardzo stary, kto wie czy nie paręset lat liczący. Drewniany był, z grubych dylów sosnowych zbudowany. Dziś ściany te poczerniały, tylko gdzie niegdzie, na sękach wystąpiła żółta, słońcem wyciągnięta żywica.

Obyczajem dawnym pokryty był słomą. Dach tak zwany łamany, t. j. w znacznej części, dla zmniejszenia nadmiernej szerokości domu, wiązanie dachu opierało się na tak zwanych „stolcach“, co znacznie zmniejszało zbytnią płaskość dachu. Boki stolców, nazywanych „facyatami“ pokryte były cieńszemi deskami t. z. „podsibitkami“.

Dziedziniec od drugiego gospodarczego dziedzińca i wychodu, starannie był oddzielony. Naprzeciw głównego ganku była brama do ogrodu, po którego ścieżkach latem chadzała staruszka.

— Jaki tu spokój, cisza niemal grobowa! — zawołałem.

— Ach panie — odrzekł Marcinek. — Ileż to razy nad tym domem anioł smutku i żałoby przeleciał. Niech ta staruszka bodaj u schyłku życia ma spokój. Dla tej to ja przyczyny wszystko jak było dawniej, zachowałem. Niech jej te pamiątki przypominają przeszłość, którą teraz żyje.... Pragnie pan poznać i resztę gospodarczych budynków? — zapytał po chwili.

— Ależ i owszem.

Znów weszliśmy do domu.

— Tam — rzekł Marcinek — pokoik panny Przecławy. Dobra to wreszcie staruszka, tylko śmieszna z tą swoją chęcią, mimo późnego wieku, do wyjścia za mąż. Lat temu około dwudziestu silne przypuszczała do mnie ataki, lecz nadaremnie. Postanowiłem sobie nigdy się nie żenić. Najprzód pragnę całe moje życie poświęcić staruszce i jej rodzinie, bo jej zawdzięczam życie. Po drugie, jakież nazwisko dałbym żonie mojej lub dzieciom, sam nie mając właściwego? Przed laty niejednokrotnie mówiła mi staruszka: „Marcinku, ożeń się, radabym cię pobłogosławić. Ot naprzykład z Przecławą, oddawna uważam, że tobą zajęta“. Wykręcałem się jak mogłem od złotego jarzma, a tem bardziej z Przecławą. Zawsze uspakajałem moją anielską panią, że się namyślę. No i dotąd nie mogłem się namyślić i wytrwam w tem przedsięwzięciu.

Wstąpiliśmy do oficyn.

— To kuchnia... tu króluje stary kucharz Maciej od lat dwudziestu pięciu służąc.

Dalej poszliśmy do stajen końskich. Duży to był, a niemniej stary budynek. Panował w nim wzorowy porządek.

— U nas — rzekł Marcinek — przeważnie starzy słudzy. Który umrze, zastępuję go młodym. To czwórka samej pani. Stare to koniska, ale jeszcze dość silne i spokojne. Woźnica ich umarł w początkach tego miesiąca; służył lat trzydzieści pięć. Po nieboszczyku sędzi miała zostać liczna i ładna stadnina. Za nieboszczyka męża pani, osobliwie pod koniec jego żywota, bo dla częstych chorób nie mógł się chowem

koni, jak dawniej, zająć, poczęła się stadnina zwodzić. Bardzo byłem młody, bo liczyłem zaledwie lat dwadzieścia, gdy mi pani powierzyła zarząd całego, dużego, o trzech folwarkach, majątku. Widząc, że nam potrzeba koni roboczych, a nie wątłych wskutek degeneracyi koników, całkowicie stajnię wyprzedałem, zaprowadzając powoli grubo-płaskie mierzyny. Wszystkie nasze konie robocze tej miary i budowy jak te, któremi pan jechałeś. Snać dobre miałem przeczucie. Zniesienie pańszczyzny roku 1848 nie zastało nas, jak wielu inszych, nieprzygotowanych. Inwentarz pociągowy, tak woły jak i konie, mieliśmy wyborne.

— Co za mnóstwo królików! — zawołałem, ujrzawszy prawdziwy rój tych zwierzątek, swobodnie po stajni kicających.

— To niedawno zmarły furman Michał, wielki ich amator, tak je rozmnożył. Za to koty, które mu w królikach szkodę robiły, tępił nieubłaganie. Nie jestem wielkim lubownikiem kotów, lecz widząc, że myszy nadty się rozmnożyły, zakazałem tego prześladowania. Toż Michał całą swą zemstę wywierał na ogonach kocich. Którego tylko dopadł w swej stajni, wnet anglezował.

— Gołębi widzę tu dużo.

— Te, to już ja proteguję, i to wspólnie z panią od lat dawnych. Mamy i przepiórczarnię i kuropatwiarnię. Służę panu.

W pobliżu starego, na pół murowanego, a na pół drewnianego lamusa, stał niewielki budynek.

— Wejdźmy do środka — mówił Marcinek — bo przepiórki spłoszone z całym impetem podlatują ku powale i na śmierć się zabijają. Przepiórki, których mam około pięćdziesiąt sztuk, łapię rozjazdem, i daję na stół dla pani.

W drugiej oddzielnej izbie mieściły się kuropatwy. Tu zobaczyłem przyrządy, których dotąd nie widziałem. Wzdłuż ścian przy samej ziemi, poukładane były wiązki tarniny, a to tym sposobem, że wewnątrz miały nieco wolnej przestrzeni.

— Na co to? — zapytałem.

— Kuropatwy te, na rozpłodek przeznaczone, chwytam w zimie równie w sieci, w kształcie „brożka“, „płachty“ rozstawionej. Pochwycone tu lokuję. W miesiącach zimowych tarnina daje kuropatwom schowki, które i na wolności będąc, tak lubią. Niektórzy mają zwyczaj z nadejściem pory pieleszy, dobierać sami pary i takowe wypuszczać. Niepraktyczny to sposób, albowiem przymusem dobrane pary, najczęściej porzucają się wzajemnie. Najlepiej, jeśli parki same się w stadzie dobierają, co na wolności bezwarunkowo się dzieje. Ku wiośnie, a dobrze to uważałem, wszystkie tu obecne kuropatwy poczynają chodzić nie stadem, ale parami; niemniej parami przesiadują po owych komóreczkach w tarninie. Z nadejściem więc stosownej pory wypuszczania ich na wolność, nie czynię tego tak, jak jest zwyczaj, że wszystkie naraz w worek zabrawszy, wypuszczają przymuszonemi stadkami. Owszem, tak to urządzam, że same sobie z izby wychodzą i odlatują. Na ten cel są te małe drzwiczki u spodu drzwi powycinane. Proszę mi wierzyć, że kuropatwy nie wszystkie naraz opuszczają izbę. Trafiają się parki, które wybiegłszy do przytykającego ogrodu, nagrzebawszy się i nabawiwszy do syta, napowrót do izby gdzie zimowały, powracają. Lecz i one w końcu ulatują, szukając miejsca na „pielesz“.

Marcinek oprowadził mnie po całem gospodarstwie. Wszędzie był ład jak największy.

— Tam — rzekł, wskazując na dom mieszkalny z uśmiechem — to wiek ubiegły, nic się tam ani na jotę nie zmieniło, lecz tu. w gospodarstwie rolnem, to bieżące stulecie. Dawnym trybem nie sposób gospodarować. Stosunki się zmieniły. Nie byłem nigdzie na praktyce gospodarczej; do znajomości zawodu doszedłem własnem i cudzem doświadczeniem, t. j. za pomocą przyglądania się, prób i dzieł o gospodarstwie traktujących. Wiele skorzystałem jeżdżąc z panem do różnych wód zagranicznych. Tam notowałem sobie wszystkie ulepszenia, no, i później tu zastosowałem. Ot, nie chwalący się, jestem także stelmachem skończonym, jakkolwiek wyłącznej w zawodzie tym nie pobierałem nauki. Pani i jej nieboszczyk mąż nie chcieli mnie wykierować na swego sługusa, toż do szkół normalnych w pobliskiem mieście mnie oddali. Gdy te skończyłem, posłali mnie na swój koszt aż do Lwowa, gdzie tak zwane dwa lata czwartej klasy, a później szkołę realną ukończyłem. Zacni ci państwo przez wszystkie szkolne me lata utrzymywali mnie, jakkolwiek skromnie lecz dostatnio. Stancyę najęto mi u stelmacha. Uczyłem mu dzieci, toż było mi jak w raju. Z własnej ochoty począłem się brać do siekiery i „ośniaka“, i znakomite w tej mierze czyniłem postępy. Poczciwy majster chciał mnie na czeladnika wyzwolić, lecz nie przyszło jakoś do tego. Otóż wróciwszy z panem z Karlsbadu, wziąłem się do sporządzania pługów na wzór czeski. Udało mi się, pługi orały wyśmienicie. Państwo nieposiadali się z radości, że, (o czem nie wiedzieli), kochany ich Marcinek takie pożyteczne umie rzemiosło. Ale — dodał z rozrzewnieniem — jak tu nie poświęcić życia swego dla takiej świętej osoby... Pójdź pan — rzekł po chwili — pokażę mu rodzaj *sanctissimum* mojej pani. Nikt z obcych tam nie był oddawna.

Obszedłszy stary lamus, doszliśmy aż do samego narożnika domu. Tam mieściła się mała furteczka w ogrodzeniu. Weszliśmy do środka.

— Oto jest — rzecze Marcinek — niegdyś panieński, a później do śmierci męża ulubiony ogródek pani. Tu niegdyś był rodzaj zwierzyńczyka. Były tu sarny i zające oswojone. W tym domku o dużych oknach mieściła się ptaszarnia. Pełno w niej było naszych leśnych i polnych śpiewaków. Pochwytane w jesieni, przezimowawszy w opalanych izbach i dostatnio żywione, z nadejściem wiosny odzyskiwały wolność.

Poszliśmy ścieżką wzdłuż zgęstniałego i zdziczałego ogrodu, który tem smutniejsze robił wrażenie, że pokrywał go śnieg, i zimowy wiatr smutno po bezlistnych konarach drzew jęczał.

— Tu koniec ogrodu. Teraz spojrz pan naprzeciw.

— Cóż to? jakby cmentarz — odrzekłem.

— A tak. Od bardzo dawna jest tam cmentarz parafialny, tylko drogą od ogrodu oddzielony. Tam, pod kaplicą cmentarną, mieszczą się groby tej rodziny. Po śmierci rodziców bardzo często, a od śmierci trojga swych dzieci i męża, którego nad życie kochała, jak długo siły i wiek jej pozwalał, zimą i latem odwidzała staruszka groby rodzinne, i klęcząc odmawiała modlitwy. Z dniem śmierci męża zaniechała myśliwstwa, które dawniej tak lubiła. Zwierzęta umieszczone w tym ogródku rozpuściła, a w tej bzowej altanie niejedną przedumała godzinę.

Stary Fabian wezwał nas do obiadu.

Obiady starym obyczajem o godzinie 3 z południa się odbywały. W porze zimowej, po odbytym obiedzie, niewiele zostaje czasu do jakiego zajęcia, mrok wieczorny, po godzinie 4-tej zapadający, tak sługi jak i państwo zwalnia od krzątaniny gospodarczej, osobliwie w niedziele lub święta, gromadząc państwo u ogniska kominkowego, a sługi w tak zwanej „piekarni“ czyli izbie czeladnej.

Lud nasz wspólnie z szlachtą niezmiernie lubi pogawędki. W pokojach gawędzono najczęściej o przeszłości — a w piekarni, gdy kobiety przędły a mężczyźni kręcili powrozy, ciosali kłonice, podkulki lub tem podobne sprzęty gospodarskie, najstarszy wiekiem, najczęściej gumienny, co to nie z jednego pieca chleb jadał i bywał po świecie, mówił bajki, częstokroć mimo swej nienaturalności, bardzo zajmujące.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Echo łowieckie z Wielkopolski.

Z dniem 21. stycznia rozporządziła rejencya w Wielkiem Księstwie Poznańskiem zamknięcie polowania na zające. Dzienniki rządowe, zwiastujące nakoniec owo rozporządzenie ochrony biednego szaraka, zapowiedziały i dla myśliwych porę wytchnienia po licznych tegorocznych trudach łowieckich.

Nareszcie zapanowała głęboka cisza po naszych polach i lasach, przerwana hukiem odtylcówek i nawoływaniem nagonki podczas kilku miesięcy trwających polowań.

Słysząc te ogromne kanonady zimowych polowań, zamieniające spokojne błonia na pola jakiegoś strasznego mordu, zdawało się, że już ród zajęczy chyba co do nogi wytępionym zostanie, a nagonki tegorocznej kampanii chyba już nigdy się nie skończą.

Ani grasująca u nas influenza, ani niekorzystne konjunktury gospodarcze, nie zdołały wstrzymać naszych myśliwych od urządzania polowań jednego po drugiem. Wszędzie, gdzie tylko się zjawiłeś, czy we dworze ziemianina, czy też we większej traktyerni Poznania, dochodziły uszów twoich rozprawy, których punktem kulminacyjnym był temat polowań. Rozprawiano o odbytych łowach, narzekano lub wychwalano dyrygującego polowaniem, racyonalnie prowadzone gospodarstwo myśliwskie, gościnność gospodarza i tym podobne rzeczy, w zakres łowiectwa wchodzące, nie zapominając przy tej sposobności o ubarwieniu i upiększeniu swych słów licencyą poetyczną. W wagonie, w tramwayu, na dworcu kolei żelaznej, jednem słowem, gdzie się tylko obróciłeś, napotykałeś jadących lub wracających myśliwych z polowań z różnych stron Księstwa. W dzisiejszych bowiem czasach, w których obywatelstwo nasze zostało zdziesiątkowane już to inwestowaniem kapitałów niemieckich lub żydowskich w majątkach ziemskich, już to przemocą stu milionami władającej komisyi kolonizacyjnej, szlachta wielkopolska, sąsiadując we wielu okolicach li tylko z Niemcami, u których nie bywa, chcąc użyć łowów, musi się udawać o mil kilka lub kilkanaście, by, jak mówi, nie zdziczeć, lub strzelać nie zapomnieć. Te szczęśliwe czasy, w których całe powiaty były w polskim ręku, upłynęły bez najmniejszych widoków na jakąkolwiek lepszą przyszłość. Po dziś dzień, nie puszczając się z fuzyą dalej, ograniczyćby się musieli myśliwi Poznańskiego na kilka zaledwie polowań, i to względnej do tego dobroci. Słusznie mówi przysłowie francuskie: „*nécessité n'a point de loi*“, — myśliwi nasi stosują się, jak widać, do niego, czego im atoli za złe brać nie można.

Lecz niestety w tegorocznej kampanii opanowała naszych myśliwych jakaś nienaturalna, przy uwzględnieniu dzisiejszych warunków, żądza polowania, która ze szlachetnego i wzniosłego zawodu łowieckiego, zrobiła przyjemność wiodącą do upadku naszego ziemiaństwa. Wszak unormowane przez społeczeństwo reguły, zakreślające granice, w których odpowiednio do majątku i stanowiska, żyć i występować powinniśmy, tak łatwo dają się, jako rzeczy abstrakcyjne, pod wpływem różnych okoliczności i czynników, przekroczyć! Jakże często chęć rewanżowania się za świetne przyjęcie po polowaniu u wielkiego pana, chęć zaimponowania sąsiadom, zyskanie sobie u nich sympatyi, lub wreszcie manja naśladowania zamożniejszych, powodują obywatela mniej zamożnego do wyprawiania hucznego przyjęcia po polowaniu, nie odpowiadającego ani jego fortunie, ani zajmowanemu przez niego stanowisku. Jest to prawdziwe nieszczęście, że nie umiemy, a raczej nie chcemy umieć sobie uprzytomnić naszego położenia, które nam nakazuje krańcową oszczędność. Zdaje się, że reformy powzięte przed kilku laty, pod naciskiem grozy naszego położenia, poszły w zapomnienie, może dla braku ciągłych napominań gazeciarskich. I tego roku donosiły gazety nasze o setkach i tysiącach ubitych zajęcy, a ignorowały, niestety, połączone często z polowaniem wystawne, rujnujące przyjęcia, libacye szampanem, grę hazardową, nie licząc się z mogącemi ztąd wyniknąć okropnemi następstwami, jak gdyby to było rzeczą małej wagi. Przypuścić trzeba było, że nikt nie posiadał tyle cywilnej odwagi, aby podnieść głos przeciw tym wybrykom zbytku i przesady. Jednem słowem bawiło się Księstwo, ciesząc się, że nikt nie wytyka wad, o których niechętnie się słyszy...

Całkiem niespodziewanie zjawił się nagle artykuł w *Dzienniku Poznańskim*, monitujący nasze zabawy i polowania. *Dzien. Poznański* umieścił w Nrze 298 z. r. na frontowej stronie ustęp pod napisem „List otwarty“, którego wyjątek, tyczący się polowań w Poznańskiem, brzmi jak następuje:

> „Przyjrzyjmy się tylko odbywającym się polowaniom. Nie mam nic przeciw temu, bądź co bądź rycerskiemu zajęciu, sam lubię polowanie — ale — ale polowania, jakie tu i owdzie po Księstwie się wyprawiają; to nie przyjemność, to nie żniwo gospodarstwa zwierzynnego, to po prostu *rendez-vous* dla biesiad hucznych i wspaniałych, które tysiące marek pochłaniają. Zabija się przypuśćmy tysiąc zajęcy, bierze się za to najwyżej dwa tysiące marek, a t. zw. „staropolska gościnność“ pochłania dwa razy tyle. Trzy lub więcej dni zjedzą z kretesem cały dochód. Wino bowiem płynie jak z krynicy, a szampan gra w tem poczesną rolę. Płucze zresztą kieszenie „maczek“ i tym podobne „szlachetne zajęcia“. A ludek patrzy się na to wszystko i buduje się tem, jak się wesoło starsza brać bawi“.

Chcąc zrozumieć i wyrobić sobie pewien pogląd na nasze polowania, scharakteryzowane w co dopiero cytowanym wyjątku z „Listu otwartego“, trzeba się przyjrzeć przynajmniej *à la volée d'oiseau* naszym towarzystwom myśliwskim. Bardzo niekorzystne bowiem mógłby czytelnik wyrobić sobie zdanie o nas Poznańczykach, biorąc *à la lettre* każde słówko autora „Listu otwartego“. Nie mam zamiaru

atoli bynajmniej przeczyć słowom autora, jako zbyt pessymistycznie naszkicowanym. Przeciwnie przyznaję, że odbywają się w Poznańskiem podobne hulaszcze polowania, twierdzę zarazem, że są to sporadyczne wypadki, nie mogące służyć absolutnie za regułę. Ponieważ zaś pasyę myśliwską można dostrzec u nas w Księstwie we wszystkich niemal klasach społeczeństwa, przeto korzystając z nadarzającej mi się dzisiaj sposobności, naszkicuję choć w kilku słowach nasze towarzystwa łowieckie.

I tak włościanie dzierzawią u nas we wielu okolicach gminne polowania; strzelają bez litości, co im przyjdzie pod lufę, a nie będąc zazwyczaj w posiadaniu ulepszonych systemów fuzyi, przepłaszają więcej i kaleczą, niż ubijają. Rzadko atoli napotkać można włościanina zamiłowanego gospodarza, trudniącego się zawodem myśliwskim. Włościanie myśliwi są to zwykle ludzie, nie mający najmniejszego zamiłowania do gospodarstwa i wogóle do pracy, nakłaniający się więcej do bezrobocia i włóczenia się. Ta klasa myśliwych dostarcza głównego kontyngentu kłusowników, tępiąc bez względu na porę ochrony i obcy rewir, wszystko co im się tylko uda. W ostatnim lat dziesiątku wysokie kary, tak pieniężne jak i więzienne, odebrały po części naszym włościanom chęć kłusownictwa i polowania bez względu na porę. Przyznać jednakże wypada, że są między nimi i dobrzy strzelcy, lecz ci, dzierzawiąc polowania, przedstawiają jeszcze okropniejszą plagę dla sąsiednich rewirów łowieckich, gdyż polując tak, aby jak największy zysk z polowania wyciągnąć, ubijają często w jednym roku dwa lub trzy razy większą ilość zwierzyny, niż myśliwy, prowadzący racyonalne gospodarstwo łowieckie. Znaną jest rzeczą, że nasz szarak chętniej przebywa na gruntach włościańskich, z powodu małych pól, dostarczających mu większej rozmaitości pożywienia, niż na rozległych polach dominialnych. Po wystrzelaniu więc zaraz na wstępie zajęcy na polach gminnych polowań, wyczekuje włościanin nowych przybyszów z sąsiednich rewirów, którzy, poznawszy wolny a odpowiedniejszy ich naturze teren, przenoszą się chętnie na nową kwaterę, aby pokosztować sąsiednich ozimin i koniczyn. Takiem wybijaniem znaczniejszej ilości zwierzyny przysparza sobie włościanin dochodu, ale nieobliczoną wyrządza krzywdę sąsiednim właścicielom polowań i całemu racyonalnemu myśliwstwu. Pasya myśliwska jest wreszcie w stanie włościańskim jedną z najniebezpieczniejszych dla egzystencyi naszych gospodarzy. Zajęci bowiem tym szlachetnym, a tak mało szlachetnie przez nich traktowanym zawodem, nie zadają sobie tego starania w najważniejszej dla gospodarza chwili, to jest przy uprawie pod jesienne zasiewy. W licznych też razach jest myśliwstwo, mimo chwilowego zarobku, drogą do ruiny całego mienia włościańskiego. Że zaś zawód łowiecki, tak jak jest traktowanym przez większą część naszych włościan, nie odpowiada ich stanowi, wynika i z tego faktu, że niektórzy taksatorzy towarzystwa kredytowego, uważając łowiectwo za rzecz nieodpowiadającą charakterowi chłopa, pytają od razu gospodarza, chcącego zaciągnąć pożyczkę landszaftową, czy jest myśliwym? Włościaninowi myśliwstwem się trudniącemu bezwarunkowo niżej taksują gospodarstwo, co w interesie dobrobytu włościanina i zaprowadzenia bogatego zwierzostanu za rzecz pochwały godną poczytać należy.

Stosunkowo daleko rzadziej napotkać można w Księstwie rzemieślników trudniących się myśliwstwem. Łączą się oni w takim razie z włościaninami, w celu urządzania małych nagonek, lub też dzierzawią polowania na gruntach miejskich, jeżeli ktoś z inteligencyi miejskiej nie uprzedzi podpisania kontraktu dzierzawy lub w razie licytowania nie zmusi najwyższą ofertą do przyznania mu polowania.

Szlachta nasza mniej zamożna urządza w sposób dość skromny swe polowania. Nie ubijają na takich polowaniach setek zajęcy, gdyż i obszar dworski nie jest odpowiedniej rozległości i częste polowanie na partyzantkę przez cały sezon łowiecki, nie zaoszczędzi wiele zwierzyny na zimowe nagonki. Zresztą przy ekstenzywnem po części gospodarowaniu, mniejszej kulturze ziemi, wypędzaniu bydła i owiec przez lato i jesień na pastwiska, zając nie ma w polu spokoju, sprzyjającego jego rozmnożeniu. Zimową też porą wyprawione polowanie, przy udziale kilkudziesięciu naganiaczy i kilkunastu myśliwych, złożonych z bliższych sąsiadów, całego szeregu księży i reprezentantów inteligencyi miejskiej, szczycić się mogą co najwyżej ubiciem kilkudziesięciu zajęcy. Sproszeni księża strzelają zwykle dobrze i odznaczają się zimną krwią.

W towarzystwie podobnem panuje kordyalna szczerość obok staropolskiej gościnności. Węgrzyn dominuje nad szampanem, preferans lub sześćdziesiąt i sześć nad maczkiem i wistem. Nie znajdziesz tam wyfraczonych po polowaniu zziębniętych myśliwych, nie usłyszysz francuskiego lub angielskiego języka, ale zamiast tego, przy omszałych wiekiem gąsiorkach węgrzyna, dojdą twoich uszów polskie pieśni, przypominające ci, że choć pod naciskiem germanizacyi, jest jeszcze szlachta, umiejąca śpiewać w ojczystym języku, nie tracąca humoru i werwy wrodzonej polskiemu szlachcicowi-myśliwemu. Jeżeli przyzwyczajony jesteś do owych wspaniałych i hucznych polowań, nie zbuduje cię może prowadzenie polowania i jego rezultat, zrazi twe ucho niejeden żart rubaszny, ale w miejsce tego ogrzeje serdeczność uczuć i rozweseli myśl, że to towarzystwo ma jeszcze w sobie siły żywotne, będące najlepszą rękojmią utrzymania włości w polskim ręku.

Przyznaję, że i w takiem towarzystwie myśliwskiem gospodarz nie osiągnie zysków z polowania, lecz przynajmniej, dając gościom oprócz zakupionego wina, jedynie to, co wieś produkuje, nie wystawia na szwank swego mienia. Niestety, takich towarzystw coraz to mniej w Poznańskiem. Fatalizm bowiem stosunków rolniczo-handlowych, ciążący nad nami, sprzysiągł się i na mniej zamożną szlachtę, która w walce odpornej przeciw połączonym żywiołom nie była w stanie wyjść zwycięsko.

Towarzystwo, oskarżone przez *Dz. Pozn.* o brak oszczędności i rozrzutność, rekrutuje się ze zamożnej — jeżeli wogóle w Księstwie o „zamożnej szlachcie“ mówić można, i z tych, co za zamożnych uchodzić pragną. Panowie ci, posiadający, jak na Księstwo, często piękne jeszcze obszary, wyprawiają wzorowo prowadzone polowania, przy udziale kilkuset naganiaczy, którzy napędzają licznie sproszonym, dystyngowanym i często dobrym myśliwym, setki zajęcy. Prawdziwa to też przyjemność uczestniczyć w podobnych polowaniach, na których, obok wzorowego prowadzenia nagonki, przy dobrze obmyślonych pędzeniach lub kociołkach, myśliwy ledwo nabijać jest w stanie, takie ma pole do popisu. Jeżeli podobne łowy urządzane są w granicach oszczędności i skromności, to i gość ma satysfakcyę i gospodarz polowania pewien zysk ze zwierzyny. Niestety, mania naśladowania i dorównania zamożniejszym pociąga do zbytkownych przyjęć, które nietylko pochłaniają cały dochód z ubitej zwierzyny, lecz nadwerężają znacznie kieszeń gospodarza.

W ostatnich kilku latach weszło u nas w zwyczaj, że damy zjeżdżają na obiad po polowaniu, po którem nastę-

pują zazwyczaj tańce. Takie polowanie damskie ma złe i dobre strony. Całodziennem polowaniem znużony myśliwy, musi się na damskich polowaniach wyelegantować i często dla etykiety ziębnąć w króciutkim fraku, mimo zmęczenia, do późnej nocy tańczyć *et être un gentil garçon*, jak to mówią. Dobrą stronę podobnych zabaw po łowach można spostrzec tylko w tem, że młodzież mając, że tak powiem, obligacyjny taniec przed sobą, nie zagląda tyle do kieliszka, napełnionego szampanem i nie znajduje tyle czasu, aby brać zbyt żywy i czynny udział w grach hazardowych. Choć pod dzisiejszymi warunkami i przy braku chęci do zabaw, ani urok płci pięknej, ani taniec, nie są w stanie wstrzymać młodzieży od przesiadywania za zielonym stolikiem, na którym — nie mając szczęścia na polowaniu, lub nie znalazłszy powodzenia w salonie, — szuka szczęścia w grze, stawiając często ostatni pieniądz na jedną kartę. Dworów podobnych, w których szampan się leje i hazard kwitnie, mamy w Poznańskiem po dziś dzień już nie wiele, ale niestety trafiają się jeszcze. Pod grozą opłakanych u nas stosunków, bywają to przykłady coraz rzadsze, mogące być uważane jako sporadyczne, choć co prawda polowanie zaledwie niewielu obywatelom rzeczywisty zysk przynosi, którzy takowe za żniwo gospodarstwa zwierzynnego uważają. Jaki zaś dochód może przynieść zwierzyna, o tem świadczy następujący fakt.

Pewien zmarły przed kilku laty u nas obywatel, lubiący więcej dźwięk złota, niż odgłos trąbek myśliwskich i huk strzelb, kazał leśnikowi na obszernej swej majętności urządzać nie wielkie nagonki co dwa tygodnie, od początku listopada do końca kampanii łowieckiej. Na urządzenie tego polowania dostawał leśnik, oprócz kilkudziesięciu naganiaczy, zrekrutowanych z chłopców wiejskich, nie więcej jak 25 fen. na myśliwego, w celu urządzenia skromnego śniadania. Zdaje się rzeczą niemożliwą, żeby przy takiem, więcej jak mizernem przyjęciu, ktoś reflektował na podobne polowanie. A jednak zjeżdżało się na podobne polowania, nie zważając na homeopatyczne śniadania, dość sporo myśliwych, złożonych z urzędników i wojskowych, którzy to panowie przybywali naturalnie najętymi końmi do oznaczonego rewiru, w którym ubijali setki zajęcy. Naturalnie, korzystne położenie terenu, licznie pozakładane remizy i porozrzucane po polach krzaki i zagajenia, ściągały późną jesienią zające z całej okolicy. Praktykując przy tak korzystnem położeniu w sposób wymieniony co dwa tygodnie nagonki, podczas całej kampanii ubijano do 3.000 zajęcy, nie licząc tysięcy kuropatw, ubitych jesienią. Czystego też dochodu ze zwierzyny miewał ów obywatel do kilku tysięcy marek, koszta bowiem polowania i przyjęcia myśliwych redukowały się w stosunku do znacznego dochodu prawie do zera, gdyż i tak w zimowych miesiącach często gospodarz nie wie, co z ludźmi zrobić, a jednak zatrudnienie im dać musi.

Dziś syn zmarłego wydaje wspaniałe polowania, spraszając liczne grono myśliwych, którzy polując dwa lub trzy dni, ubijają zaledwie połowę tyle zwierzyny, co dawniej za ojca ubijano, a koszta przyjęcia, kto wie, czy nie przewyższą zysku ze zwierzyny.

Mamy nakoniec i myśliwych, którzy nie będąc zwolennikami spraszania licznego towarzystwa na łowy, już to z powodu wynikających z tego kosztów, już to chcąc mieć większą satysfakcyę przy częstszem strzelaniu, zapraszają na łowy trzech lub czterech myśliwych i tak przy udziale nagonki złożonej z 300—400 ludzi, każą pędzić biednego szaraka na trzy lub cztery fuzye, które na przemian podawane przez strzelców, stojących za swymi panami, sieją nieustannym ogniem i śmiercią w koło siebie, zamieniając kłębami dymu, mianowicie pod wieczór, stanowisko myśliwego w jakiś olbrzymi, pogański ołtarz całopalenia.

Krótkiej tej charakterystyce polskich towarzystw myśliwskich przeciwstawię, o ile moje doświadczenie i informacye na to zezwalają, za przykład nam służyć mające, przez *Dz. Poz.* polecone towarzystwa łowieckie sąsiadów naszych Niemców.

Osiedleni w Księstwie chłopi niemieccy, tak zwani koloniści, mniej są pochopni do zawodu myśliwskiego od naszych włościan. Lecz i oni z chęcią oddają się kłusownictwu, mianowicie, jeżeli zamieszkują między większymi borami, i gdy gruba zwierzyna wychodzi na przyległe ich pola i szkody im wyrządza. Zresztą nic nie mają charakterystycznego i wybitniejszego w urządzaniu swych polowań, aby zwrócić czemśkolwiek na siebie uwagę.

Świeżo co kreowana szlachta niemiecka w Poznańskiem, posiada okolicami piękne i wzorowo zagospodarowane majątki ziemskie. Intenzywny zazwyczaj sposób gospodarowania, mianowicie zaś niewypędzanie inwentarza w pole, wysoka kultura ziemi, wpływają bezwarunkowo na znaczny wzrost zwierzostanu, tem bardziej faworyzowanego wzorową ochroną przez cały sezon polowania. Nie dziw więc, że przy udziale tak wpływowych czynników i wyśmienitej organizacyi, urządzone tylko raz do roku, lub co drugi rok polowanie niemieckie, sprawia nietylko wielką satysfakcyę zaproszonym myśliwym, lecz i przynosi gospodarzowi polowania, po odciągnięciu kosztów skromnego a przytem przyzwoitego przyjęcia, znaczny dochód na czysto.

Uwzględniając naprężone stosunki pomiędzy nami a naszymi kordyalnymi sąsiadami Niemcami, które antypolskiemi prawami jeszcze bardziej się naprężyły, nie bywają Polacy wogóle u Niemców. Mniemanie też dla tego, jak polują i jak się bawią po polowaniu nasi sąsiedzi, jest dość różne i rozdwojone.

W ostatnich dniach grudnia dostałem zaproszenie na polowanie od pewnego Niemca, zamieszkującego w powiecie kościańskim, któremu wyjątkowo na ten raz odmówić nie mogłem. Chętnie też dzielę się z czytelnikiem szczegółami tak prowadzenia jak i przyjęcia na owem niemieckiem polowaniu.

Z pewną ciekawością, jak też to Niemiec poluje, puściłem się w dniu oznaczonym koleją wrocławsko-poznańską w okolicę mającego się odbyć polowania. Zmierzch panował jeszcze, a już zaczęli się zjeżdżać ludzie ze wszystkich, należących do majętności folwarków, napełniając z każdą chwilą podwórze zamkowe. Oryginalny widok przedstawiała ta masa ludzi, tworząca mozajkę, upstrzoną czerwonymi kabatami kobiet i gdzie niegdzie białego lub szarego koloru kożuchami mężczyzn — a wszystko upiększone złotymi promieniami wschodzącej jutrzenki, zapowiadającej tyle upragnioną pogodę.

Na dobrą godzinę przed rozpoczęciem łowów, podzielili urzędnicy, zajmujący się organizacyą polowania, zgromadzonych 154 ludzi na dwie równe części, mające tworzyć skrzydła planowanych kociołków. Ponieważ zaś miało polować czternastu myśliwych, przeto podzielono każde skrzydło na siedm oddziałów, z których każdemu wyznaczono jako dyrygenta włódarza lub starszego parobka. Rozdano następnie, dla zaprowadzenia lepszego porządku, naganiaczom każdego oddziału kartki dużego formatu z numerem myśliwego, do którego mieli należeć. Kartki te czerwonego koloru dla skrzydła prawego, żółtego dla skrzydła lewego, poprzypinali sobie naganiacze na czapkach i chustkach.

O godzinie ósmej całe grono sproszonych myśliwych spożywało już skromne śniadanie, poczem nastąpiło wylosowywanie numerów, które podług skrzydeł na czerwonym i żółtym papierze były wypisane. Następnie rozdał gospodarz bilety, objaśniające sygnały i ich znaczenie podczas polowania, robiąc propozycyę naznaczania kar za chybione strzały i przekroczenie ogólnych znanych przepisów przy urządzaniu kociołków. Podług wniosku gospodarza miano płacić za każde pudło 10 fen., za strzelanie po ostatnim sygnale w środek kociołka 10 marek, za prowadzenie fuzyi przy celowaniu po linii naganiaczy 20 marek, i wreszcie w przypadku postrzelenia kogoś z naganiaczy 50 marek. Zgromadzone kółko myśliwych odrzuciło atoli jednogłośnie wniosek gospodarza.

Prawie równocześnie z uderzeniem wpół do dziewiątej na zegarze zamkowym, dał się słyszeć na podwórzu wesoły sygnał, zapraszający myśliwych do wyruszenia w pole. Udekorowani kolorowemi karteczkami, na których numer zdaleka można było rozróżnić, powsiadali myśliwi bezzwłocznie do oczekujących już na nich powozów, których stangreci mieli także kartki z numerami myśliwych, mających siedzieć w powozie.

W kilka minut wszystko było w ruchu. Na szerokiej szosie, prowadzącej od strony pałacu, postępowało za licznemi podwodami myśliwych, szesnaście czterokonnych fur, na których naganiacze każdego z myśliwych byli ulokowani, i dwa wozy pod zwierzynę, wszystko w odpowiednim porządku, zastosowanym tak do koloru jak i numerów karteczek.

Stanąwszy przed miotem, który miano okolić, rozjechały się skrzydła w przeciwne strony, a zatrzymując się na dwóch przeciwległych punktach, rozsyłał dyrygujący rządca tak myśliwych jak i naganiaczy w prawo i lewo, uwzględniając odpowiednie numera. Dodać muszę, że po obu stronach myśliwego szli dwaj ludzie z koszykami na plecach, zbierający ubite zające. Jednem słowem organizacya polowania była tak wyśmienita, ludzie naganiający tak rozkomenderowani, tak karni i tak maszerujący, że doprawdy batalion regularnego wojska nie byłby prawie w stanie postępować z większą akuratnością.

Około południa nadjechała pani domu, przywożąc dla myśliwych przekąski, likwory, wina i wyborny ciepły poncz, który to ostatni najlepiej nam do gustu przypadł. Naganiaczom zaś rozdano obficie chleba i wódki, która im odwagi do dalszego marszu i nawoływań dodała.

Całe to śniadanie nie trwało 20 minut; po zjedzeniu wzięliśmy się bezzwłocznie do urządzenia dalszych kociołków, ażeby *recentis viribus* mordować dalej ród zajęczy.

Ciemno zaczęło się już robić, gdy na ukończeniu dziewiątego kociołka zatrąbiono żałośniej, używając niskich tonów, zapowiadających niedobitkom tegorocznej kampanii spokój na rok cały.

Słońce, ten bożek wszelkich uroczystości, szukających dnia i wolnego powietrza, raczyło sprzyjać naszej wyprawie łowieckiej. Zresztą wyborna organizacya i wysoki zwierzostan przyczyniły się do wcale dobrego rezultatu, choć można było ubić znacznie więcej, gdyby nie bardzo mierne strzelanie pięciu młodych, dopiero początkujących myśliwych, którzy wiele bardzo zwierzyny przepuścili.

Spolowawszy zaledwie jedną trzecią całej majętności, t. j. z jakie 5.000 morgów, mieliśmy na rozkładzie 473 zajęcy, która to cyfra musiała zadowolnić kompletnie myśliwych.

Wypocząwszy po polowaniu ze dwie godzinki, zeszliśmy *en frac* do salonów, w których już damy były zgromadzone. Wkrótce potem, z wesołość zdradzającym uśmiechem na twarzy, przyjęliśmy ogłoszenie służącego o podanej kolacyi. Wybornie przyprawione potrawy, złożone z najdelikatniejszych przysmaków i nowalijek, po których coraz to inne wina służba obnosiła, kazały zapomnieć o marszu po dziewięciu kociołkach. Do deserów podano szampana, którym wzniesiono zdrowie króla polowania, poprzestając na tem jednem zdrowiu.

Wstawszy od stołu, towarzystwo się podzieliło. Panie poszły do buduaru, aby gawędzić może o „Hauswirthschaft“. Panowie urządzili dwa stoliki „skata“, grając punkt po pół feniga, a młodzież z pannami bawiła się w salonie grami towarzyskiemi.

Po dobrych winach, podanych przy kolacyi, obnosiła służba w salonach piwo, które tak młodzież jak i płeć piękna z przyjemnością zapijała. Już po 11-tej wszyscy się rozjechali.

Wyjeżdżając z bramy pałacowej, smutno zrobiło mi się jakoś na sercu. Machinalnie obejrzałem się na gmach pałacowy, którego kontury w cieniu nocy miały coś mistycznego i tajemniczego. Starożytny pałac, przypatrujący się ongi na swych sławnych dziedziców, którzy najwyższe urzędy piastowali we Wielkopolsce, dziś patrzeć musiał na Niemców przybyszów i słyszeć radośne ich „Waidmannsheile“. Pomyślałem sobie, jakżeby to było uroczo uczestniczyć w tym zamku po polowaniu, wyprawionem przez potomka dawnych dziedziców tych włości, którzy dziś niestety zniknęli z horyzontu, utraciwszy milami ciągnące się dobra. Jakże to przykro pomyśleć, że dziś w odwiecznych siedzibach naszych magnatów, rozpanoszyli się innoplemieńcy, którzy przybywając do naszej Wielkopolski rozpoczęli z niczem, a dziś pracą i oszczędnością wyrugowali tych, którzy dawniej stali na czele społeczeństwa, a dziś są niczem. W pocie czoła i z mozołem nagromadzony majątek, przewyższający często fortuny magnackie u nas, nie pozwala zapominać tym, co go krwawo zarobili, o maksymach oszczędności i rządności.

Widzieliśmy z przytoczonego co dopiero przebiegu polowania u jednego z najbogatszych niemieckich właścicieli ziemskich, jak punktualnie wszystko idzie, jak umieją wyzyskać każdą chwilę i z jaką oszczędnością krańcową się bawią. Takie tylko jedynie polowanie może sprawić zaproszonym myśliwym prawdziwą przyjemność, gdzie się wie, że ani kieszeń gospodarza, ani zaproszonego myśliwego nie jest wystawioną przez ryzykowną grę w karty na ruinę, a przez libacye szampanem na szwank zdrowia; przeciwnie, że urządzone łowy konieczny w gospodarstwie zwierzynnem dochód gospodarzowi przyniosły. Naśladując pod tym względem naszych sąsiadów Niemców, będziemy mieć zysk z polowań, rozrywkę jeszcze większą, i nie będziemy potrzebowali słuchać wyrzutów, że jesteśmy rozrzutni i lekkomyślni. .

Gdy się oddawałem takim i tym podobnym rozpamiętywaniom naszej smutnej doli i braku chęci do koniecznie potrzebnej, jaknajprędszej, radykalnej zmiany naszych zabaw po łowach, przebudził mnie nagle w moim ciepłym kąciku, jak z jakiego snu letargicznego. przeraźliwy świst lokomotywy, oznajmującej powrót do mej cichej i spokojnej siedziby.

Lubicz.

KORESPONDENCYE.

Lisowice, w lutym 1890.

(Pamięci hr. Kazimierza Wodzickiego. — Z lisowickich polowań).

Stary orle łowiectwa! Dziś knieja w żałobie,
Ciężkim się kirem smutku okryła po tobie;
A zda się, kiedy spojrzeć w ciemne puszczy drzewa,
Że z każdego zeń całun żałobny powiewa —
I wiatr, kiedy igrając z starym dębem szumi,
On mu zwierza swe żale, tęskne łkania tłumi!...
Niemniej — niemniej wrażliwa jest dusza łowiecka,
Choć nie z pozoru — tkliwa, jakby dusza dziecka,
Więc umie także kochać, tęsknić i żałować,
Umie uczcić wspomnienie i pamięć szanować. —
Więc z knieją razem wespół i nasza drużyna,
Ze łzą w oku twą postać sobie przypomina,
Która dziś, choć przeszłości pomroką spowita,
W sercach naszych żyć będzie zawsze niespożyta;
Tyś bowiem z knieją naszą tak zrósł się nam w duszy,
Że każda tu drobnostka wspomnienie poruszy —
A ilekroć przypomnę twoję postać, lice,
Zawsze mi przed oczyma stają Lisowice!
Dziś cię już nie obudzi myśliwska piosenka,
Duch twój w dal gdzieś odbieżał, a martwa twa ręka
Nie pochwyci już broni, aby zagrzmieć strzałem,
I podzielić się z nami łowieckim zapałem;
Lecz postać twa nam będzie stać zawsze na oku,
I będzie nam wskazówką w każdym łowczym kroku,
Ona nam nieomylnym będzie drogoskazem,
Nauką i kierunkiem i radą zarazem;
Więc za mądre wskazówki, którychś nam udzielał,
Za te trudy łowieckie, coś z nami podzielał,
My ci dzisiaj ślubujem, że czcząc twe wspomnienie,
Kiedyś tak uczyć będziem młodsze pokolenie —
I żegnamy cię, druhu, okiem łzą zalanem,
Boś ty myśliwstwa w Polsce był arcykapłanem
Stary orle łowiectwa!

Smutna wiadomość o śmierci Wodzickiego doszła nas na polowaniu jesiennem 1889 r.; a jakkolwiek według programu mieliśmy jeszcze polować przez sześć dni, wszelako jednomyślnie zgodziliśmy się, aby na znak żałoby polowanie jesienne natychmiast przerwać i zakończyć. Pierwszy też raz zjechaliśmy się w styczniu po śmierci Wodzickiego, i każdy mimowolnie zwracał się myślą w przeszłość, wywołując w pamięci tę postać tak nam wszystkim drogą i sympatyczną. Jakkolwiek bowiem zmarły od kilku lat nie brał już udziału w naszych polowaniach, zawsze jednak należał do naszego Towarzystwa i istniał między nim a nami ten łącznik sympatyczny i trwały, który dopiero śmierć sama przerwała.

Nie tu miejsce myśliwskiem piórem kreślić żywot męża w społeczeństwie tak zasłużonego, — ograniczę się na kilku słowach, dotyczących powstania i rozwoju naszego Towarzystwa.

Gdy w roku 1870 Towarzystwo nasze uorganizowawszy się, uzyskało dzierżawę rewirów kameralnych Lisowice, Bolechów i Taniawa, Wodzicki stanął na jego czele i usiłowania swoje skierował ku temu, aby polując racyonalnie, o ile możności podnieść stan zwierzyny; poznał bowiem okiem znawcy, że warunki są odpowiednie, tylko knieja przez bezprzykładne wyniszczenie opustoszała. A potrzebowała ta knieja opieki, potrzebowała! Jeżeli bowiem dzisiaj rezultat ubitej zwierzyny większy jest, niż lat poprzednich, jest to wyłącznie jego zasługą, jak również to, że lasy zrzuciły niemiecką szatę, że niemieckie napisy „Schneusse“ zmieniły się na „przeręby“, nagonka nawet wołała dawniej „tire haut“, „links“ i „rechts“, a dziś z tego nie ma śladu, — i w jesieni rozlega się miłe dla ucha polskiego „tire haut na prawo“.

Ująwszy silną dłonią kierownictwo polowania, przodował nam Wodzicki przez szereg lat, utrzymując Towarzystwo w karności myśliwskiej i w porządku wzorowym. A silna była ta dłoń lecz przytem miękka. Nie dopuszczając samowoli i odstąpienia od najściślejszych reguł myśliwskich, nigdy szorstkiem słowem nie dotknął nikogo, nigdy nie zamącił harmonii, która od tej pory stała się tradycyą, i w tej t o n i e z a m ą c o n e j n i c z e m h a r m o n i i i z g o d z i e l e ż y m o ż e g ł ó w n y u r o k t y c h p o l o w a ń i największy powab naszych zebrań, jedna bowiem kropla kwasu musiałaby wywołać ferment, który tak długo by działał, dopóki niedoprowadziłby do rozkładu. Że dziś tego wszystkiego nie ma i nie będzie, przeto Lisowczycy wdzięczność zachowują dla swojego założyciela. Czując się znużonym, złożył Wodzicki kierownictwo łowów w ręce Władysława Bzowskiego, który, trzymając się dawnych tradycyj, wprawną, doświadczoną i godną poprzednika ręką kieruje losami Towarzystwa.

Dnia 1 marca Towarzystwo nasze ukończyło 18-ty rok istnienia, i uzyskawszy po przezwyciężeniu licznych trudności dzierżawę tych samych rewirów na dalszy okres lat sześciu, ukonstytuowało się na nowo, obierając prezesem Bzowskiego, a wobec tego, że prezes stanowczo oświadczył, iż polowaniem kierować nie chce, uproszono Stanisława hr. Stadnickiego, aby objął urząd łowczego, a Stanisława hr. Tarnowskiego, aby go zechciał zastępywać w razie niebytności.

W podanej poniżej tabeli umieszczam wykaz ubitej zwierzyny w ostatniem sześcioleciu, przyczem nadmieniam, że wykazem tym nie są objęte drapieżne ptaki, psy i koty, ubite w ciągu tego czasu przez naszą straż łowiecką.

Oto ogólny wykaz zwierzyny ubitej w Lisowicach od 1 marca 1883 do 1 marca 1889 roku:

Rok	Niedźwiedzie	Dziki	Rogacze	Zające	Rysie	Żbiki	Wilki	Nurek wydra	Lisy	Koty	Kuny	Psy	Jastrzębie gołębiarze	Sowy uralskie	Cietrzewie	Jarząbki	Słonki	Puhacze
1883/84	1	29	31	57	1	.	.	.	37	1	3	1	1	15	.	25	5	.
1884/85	1	13	45	57	1	2	2	.	35	1	1	.	.	.	1	19	11	1
1885/86	.	22	68	100	.	.	.	.	42	.	2	.	.	19	.	30	14	.
1886/87	3*	16	50	85	.	1	.	.	38	.	.	1	4	3	2	48	55	.
1887/88	.	14	51	77	.	1	.	1	37	.	1	.	5	9	8	23	30	.
1888/89	.	21	36	70	.	.	.	.	41	.	.	.	.	6	2	38	3	1
Razem	5	115	281	446	2	4	2	1	230	2	7	2	10	52	13	183	118	2

*) Trzy niedźwiedzie, które padły w r. 1886, były to maleńkie piastuny, ubite w lecie przez rządową straż leśną.

W r. 1883/4 ubito więc	205	sztuk, a dano	537	strzałów	
„ 1884/5 „ „	190	„ „	514	„	
„ 1885/6 „ „	298	„ „	647	„	
„ 1886/7 „ „	306	„ „	771	„	
„ 1887/8 „ „	257	„ „	600	„	
„ 1888/9 „ „	218	„ „	444	„	
Razem	1.474	sztuk, a dano	3.513	strzałów.	

Ubiegłej jesieni niedźwiedź także bawił w naszych rewirach, lecz instynktem zachowawczym wiedziony, opuścił je na kilka dni przed rozpoczęciem polowania. Był także i ryś, lecz do strzału nie przyszło.

Na polowaniach w r. 1889/90 ubito ogółem dzików 19, rogaczy 47, zajęcy 97, lisów 48, jarząbków 58, słonek 15, sów uralskich 7, jastrzębi 3, razem sztuk 294, na co padło strzałów 638.

Z powyższego zestawienia okazuje się, że stan zwierzyny, odrachowując oczywiście mało znaczące różnice, powoli się podnosi, daleko jednak, bardzo daleko, aby stanął na tym punkcie, gdzie stać powinien. W czem leży przyczyna, odgadnąć nie trudno, — w kłusownictwie rozwielmożnionem i prawie zawsze bezkarnem. Są to skargi tak już oklepane, że prawie ich powtarzać nie warto, a jednak nie przestaniemy wołać o przestrzeganie ustaw i pociąganie winnych do odpowiedzialności. W rewirach, w których sarny żyją w najlepszych warunkach, gdzie knieja sucha, naturalne słone źródła, gdzie wilków prawie nie ma, gdzie koza raz na kilka lat padnie, przecież powinny się sarny rozmnożyć nad miarę, jest ich jednak nie wiele, gdyż wyżej podane cyfry byłyby pięknemi, gdyby obszar lasów był około trzech tysięcy morgów, a liczba dni polowania w roku ograniczona również na kilka, — lecz wobec tak kolosalnych obszarów i tylu dni myśliwskich, jest ona przerażająco małą i ręce opadają myśliwemu, który widzi, że wszystkie usiłowania rozbijają się o samowolę kłusowników.

Inna knieja pod temi warunkami byłaby zupełnie pustą, a Lisowice mimo tego wszystkiego, piękne są rozmaitością zwierza i tem, że choć nieraz ciężko zapracowanym ale wspaniałym łupem obdarzą myśliwego.

Tu jeszcze możesz spotkać się z niedźwiedziem, rysiem lub potężnym górskim odyńcem, którego naprożno szukałbyś w innych kniejach, gdzie cywilizacyjna siekiera i śmiercionośny express ustaliły swoje panowanie.

Dlatego to Lisowczycy zawsze z rozkoszą myślą o tej kniei, z którą tyle ich łączy wspomnień, z radością ją witają i z żalem żegnają.

Tego roku skończyliśmy sezon dnia 31. stycznia, a odjeżdżających towarzyszy pożegnał ustępujący z urzędu sekretarz następującym wierszem:

Gdym przed laty ośmioma, jako łowiec młody,
Wstąpił w waszych szeregach w łowieckie zawody,
Nie myślałem, bym kiedy, oprócz łowczej broni
I pióro kronikarza dzierzyć miał w mej dłoni. —
Wyście mi rozkazali — więc sercem nieśmiałem,
Z brakiem ufności w siebie, — lecz się wam poddałem;
Bo pióro, którem orzeł po chmurach szybował,
Którem w locie podniebnem w przestworzu sterował,
Którem śmiało przemierzał wszechświata obszary,
Miał teraz ująć w ręce mały sokół szary...
Tego, który opiewał „Czaple pióro“ nasze,
Miało odtąd zastąpić drobne, szarę ptaszę!
Więc przez cały lat szereg, choć nie nazbyt długi,
Jam spełniał obowiązek towarzysza-sługi,
I pośród chwil rozkosznych, jam czuł się szczęśliwym,
Gdym je umiał odtworzyć słów obrazem żywym,
Albo czasem was żartem niewinnym ubawić
I treść łowów swobodnym humorem zaprawić.
Lecz życie nie jest pasmem samych pomyślności,
Czasem mgła cię owionie drobnych przeciwności;
Więc i pośród złej doli jam wam stał przy boku,
Dobro nasze i przyszłość li mając na oku, —
Bom ja na posterunku moim był żołnierzem,
Sługą i towarzyszem — a prawdy szermierzem.
Więc jeślim kogo dotknął, gniewu nie chowajcie,
Mimowolną urazę sercem wybaczajcie;
Bo jeżelim zadrasnął — to chyba przypadkiem,
A nigdy ze złej chęci — na to Bóg mi świadkiem!
Dziś sokolik wasz mały, który orła wzorem
Chciał, na skrzydłach się wznosząc, bujać nad przestworem,
Uczuł, że sił mu brakło, że lotu nie staje!
Więc zanim w dal odleci, gdzieś w nieznane kraje,
Piosnkę wam tu zostawia, co ostatnią będzie,
Ostatni rym myśliwski — niby śpiew łabędzi.
A gdy kiedyś w przyszłości, w lat długim szeregu,
Dobiegnę mego kresu w nieprzerwanym biegu,
Gdy może imię nawet w niepamięć popadnie,
A ktoś łowcze piosenki zanuci bezładnie —
Wy wtedy, łącząc przeszłość wspomnienia łańcuchem,
Pomyślicie: „Ten pieśniarz był nam kiedyś druhem!“

Zygmunt Pietruski.

Strzałki, 25 lutego 1890.

(Niektóre uwagi z sezonu tegorocznych polowań).

Dziś, gdy polowania w kniei już się kończą, słusznie zastanawia się każdy z nas myśliwych nad ostatecznym wynikiem zabiegów i trudów całorocznych, nad ilością ubitej zwierzyny, podniesieniem lub upadkiem jej stanu w swej okolicy — i najpewniej każdy z nas miałby dużo do powiedzenia. Uważam też za rzecz zupełnie słuszną, byśmy się temi porobionemi spostrzeżeniami i uwagami chętnie z kolegami dzielili w pogadankach, które Szanowna Redakcya naszego organu zechce może podać, skoro je za odpowiednie dla szpalt „Łowca“ uzna.

Jak w całej naturze nie ma dwóch jednostek zupełnie sobie równych, tak też w naszym zawodzie myśliwskim rok rocznie znachodzimy liczne zmiany, mimo, że zewnętrznie pojedyńcze pory roku są sobie podobne. Tegoroczna zima daje nam obfity materyał do różnych spostrzeżeń i wniosków. O słuszności tychże niech łaskawi czytelnicy sądzą.

Zaraz po spadnięciu pierwszych śniegów zauważyłem, że sarny od pierwszej chwili chętnie żerowały przy stertach i brogach siana lub koniczyny, stawianych po łąkach, halach leśnych lub polach. Widząc to, karmiłem je od pierwszej chwili, wywożąc koniczynę, którą skwapliwie rozjadały; że zaś zwykle w innych latach zaledwo w drugiej połowie zimy przystępowały do suchej, zadanej paszy, lub też do stert i brogów, przyszedłem do przekonania, iż powodem tej żarłoczności sarn nie jest nic innego, jak tylko brak dobrej i obfitej paszy naturalnej, rosnącej po zrębach i liściach leśnych, która tegoroczną posuchą spalona została, oziminy zaś, jakkolwiek silnie rozkrzewione jesienią, zepsute zostały i przytęchły wskutek wczesnego spadnięcia śniegów na niezamarzniętą rolę.

Sądzę, że potwierdzi to moje zdanie każdy z myśliwych, chodujących zwierzynę u siebie, — a gdyby uważnie zechciał się przypatrywać, łatwo mógłby spostrzec, że tegoroczne oziminy, z wyjątkiem miejsc po pagórkach ze śniegu

zwianych, nie były tak gęsto zdrapane przez sarny i zające, jak to co roku się widzi.

Pamiętam zimy, w których napróżno przez grudzień a nawet styczeń zadawałem karmę sarnom. Mając pod śniegiem, w zrębach, po liniach i halach leśnych smaczną i dostatnią naturalną paszę, niemniej świeże w zamarzniętym gruncie oziminy, nie dbały o łaskę gospodarza i zaledwo w drugiej połowie zimy korzystały z zadawanej karmy.

Polując tego roku dużo w różnych stronach i różnych kniejach wschodniej Galicyi, (bo do tej tylko części kraju odnoszą się moje uwagi), utwierdziłem się w tych moich spostrzeżeniach. Tam tylko napotykałem obfitość sarn, gdzie były zaraz z początkiem zimy karmione; w kniejach zaś, gdzie o to nie dbano, jakkolwiek znanych dawniej z wysokiego stanu sarn, znacznie ich mniej tej zimy było. Sarny trzymały się tam po nad łąki i pola, w bliskości stert lub brogów, opuszczając głębokie knieje. Tu znowu wyjątek stanowią knieje tych gospodarstw, gdzie rzepaki są uprawiane; przyciągały one właśnie sarny, rzepak bowiem jest ulubioną karmą dla sarny w zimie.

Dziś, gdy to piszę, karmienie sarn winno być już na porządku dziennym. Ów głód na bydło, o którym tyle słyszymy i który widzimy, odbija się również dotkliwie na sarnach, a wiązka zropionej koniczyny jest dziś prawdziwym miłosiernym uczynkiem dla tych biednych stworzeń, które dają nam tyle przyjemności i pożytku w czasie łowów.

Drugie spostrzeżenie, które zrobiłem, odnosi się do lisa. Nie pamiętam już od lat dawnych, by tak mało lisów brano w zimowych polowaniach, jak tej zimy, a szczególnie w miesiącu grudniu i większej polowie stycznia, w którym tylko kilka dni było sprzyjających łowom na lisy. Polowałem między innemi w kniejach, znanych z obfitości lisów, jak n. p. w kniei Martynowskiej, obok Bukaczowiec, gdzie w roku zeszłym w jednym miocie do 27 lisów strzelano. Otóż tego roku, na dwudniowem polowaniu, padło tam zaledwo kilka lisów. W Jasioniowie, kniei należącej do skarbu Chodorowskiego, gdzie zwykle widywaliśmy i ubijali dużo lisów, polując tej zimy cały dzień, na kilka dni przed Bożem Narodzeniem, z lisem nie spotkaliśmy się, a tylko jeden młody lisek był widziany przez nagonkę. Nie wątpię, że nie żadna influencya ani też expatryjowanie się, pana mykitę od nas wypędziły, ale atmosfera, z początkiem zimy panująca, zmusiła go do strzeżenia „penatów domowych“ w norach. Jak wiadomo, lis jest dbałym i oszczędnym gospodarzem, a w szczególności szanuje swoją, nowo sprawioną szubę. Długa włóczęga po polu lub kniei okryłaby to futro, w takiej wilgotnej porze, tym samym szronem, który tak długi czas knieje a nawet brody i wąsy nasze okrywał. Lis tego unikał, gdyż futra walać nie lubiąc, z szronem do nory nie wlezie, a wlazłszy raz do niej, siedział tam tak długo, dopokąd go silny głód z niej nie wygnał. Na głód miał on tego roku łatwy ratunek. Ogromna ilość ubitych koni z jesieni, zaopatrzyła wszystkie knieje w padlinę, co ułatwiało panu mykicie egzystencyę; pożywiał się łatwo, wziął ze sobą, co się wziąść dało do chaty i siedział później, jak to mówią, jak „u Pana Boga za piecem“, zostawiając wilgotne a mroźne powietrze panom myśliwym.

Że zaopatrzenie kniei w padlinę końską ułatwiło tego roku lisom wyżywienie się, dowodzić nie potrzeba, a i teraz jeszcze stosunkowo znacznie mniej widać lisów po polach myszkujących, niż to o tej porze bywa w innych latach.

Te tak obfite tej zimy szrony i okiście były dla zajączka bardzo korzystne. Z jednej strony lis nie prześladował go tak zacięcie, nie będąc głodnym a unikając szronu, z drugiej zaś strony owiśnięte krzaki i krzewy, okryte lodem i szronem, pozwalały zajączkowi łatwo wywinąć się po pod nogi naganiaczom. I tak n. p. na zimowem polowaniu w niewielkiej kniei Dziedziłowskiej (gdzie ów król dziadów lirnik mieszka), naliczyliśmy z moim sąsiadem, na jednem stanowisku, stojąc na pagórku, skąd daleko widać było, nie pomnę 10 czy 12 zajęcy, które, posunąwszy się przed nagonką nieco naprzód, przysiadały za krzakiem okrytym okiścią — a gdy chłopcy się zbliżali — szmyrk w tył i bywaj zdrów, panie myśliwy, pisz do mnie na Berdyczów! W ogóle, z powodu dużego a miękkiego śniegu, zając tej zimy niechętnie posuwał się naprzód, zostawał w miocie lub cofał się w plecy nagonki, dużo też zajęcy tym sposobem uratowało swe życie tej zimy. Jest nadzieja, że gdy wiosna sprzyjać będzie lęgowi zajączka, stan jego u nas znacznie się polepszy.

Mówiąc o zającu, pozwolę sobie podnieść i przypomnieć szanownym czytelnikom, a niezawodnie zwolennikom polowania, więc też i przyjaciołom licznych zajęcy, jedno wielce cenne zdanie ś. p. hr. Kazimierza Wodzickiego, to jest: że kto chce podnieść stan zajęcy w swej kniei, nie powinien jesienią po liściu strzelać zające w kniei, lecz dopiero po śniegu; jesienią zaś brać je tylko w kociołkowem polowaniu w polach.

Racyonalna podstawa owego przepisu jest ta, że w jesieni przesiaduje przeważnie tylko samica w kniei, a samiec trzyma się roli, bruzdy, w ogóle w polu a mniej w lesie mieszka, i dopiero ze śniegiem samce ciągną do kniei.

Wyczytawszy ongi tę uwagę w jednej z korespondencyi ś. p. naszego nestora łowiectwa, notowałem przez lat kilka ilość ubitych samic i samców w jesieni i w zimie, i przyszedłem do rezultatu z ołówkiem w ręku, że w jesieni pada w kniei zaledwie $^{1}/_{5}$ część samców a $^{4}/_{5}$ samic, gdy w zimie nie ma tej tak wybitnej różnicy, i cyfry są równoważące. Sądzę, że gdybyśmy chcieli w ten sposób kilka lat polować, bijąc jesienią tylko lisy, a szanując zające dla polowań po śniegu, niewątpliwie, że rezultaty okazałyby się znakomite.

Zapewne! — odpowie mi niejeden z panów czytelników — słuszna uwaga, ale my nie możemy się nigdy dochować większej ilości zwierzyny, choćbyśmy wybili co roku wszystkie lisy, jastrzębie i inne szkodniki, a nawet i sprowadzenie — jak to mówią — ikry zajęczej, na niewiele u nas by się przydało, dopóki największy wróg zwierzyny, kłusownik, nie zostanie poskromiony! Otóż i prawda! Wielka prawda! Od dawna, a szczególnie w ostatnich kilku latach tak się u nas rozwielmożniło kłusownictwo, że prawie w każdej wsi jest kilku lub kilkunastu przedsiębiorców tego fachu. Powiązana strzelba lub drut w kluczkę przyrządzony, zadaje corocznie ogromne cięgi wszelkim, nawet najlepszym chęciom gospodarzy myśliwych, a usłużny żydek ułatwia zbyt skórki i mięsa.

Chęć popularności niektórych panów posłów, niestety! nakazała im tak w Sejmie jak i w Radzie państwa opiewać wielkie szkody, które niejako zwierzyna z pańskich lasów wyrządza, a gdy się ci właściciele z pism usłużnych o tych swoich stratach dowiedzieli, poczęły się narady i debaty o tem po gromadach, a w dalszym ciągu dowiedział się ten i ów, że broń można mieć w domu, byle cię tylko żandarm z nią w polu nie przydybał. Ba! ale jak to mówią: „Pan Bóg wysoko a żandarm daleko“, więc co roku kilka strzelbin w gminie przybywa. Żandarm nie tak łatwo złapie kłusownika, gdyż żandarmów jest zbyt mało, by przy licznych innych obowiązkach mogli skutecznie poskramiać kłusowni-

ctwo, a w chacie nie wolno mu strzelby odebrać; zresztą kłusownik lepiej pilnuje żandarma i gajowego, wiedząc gdzie się który z nich obraca, niż oni kłusownika. Więc rankiem i o zmroku dalej w krzaki, kniejki, bory, na przechody, co się trafi i o każdej porze — do worka — i kamień w wodę.

W jednej z moich sąsiednich gmin jest kilkanaście strzelb, o których nawet donosiłem i żandarmom i c. i k. Starostwu, lecz trudna rada, strzelby z chaty, mimo silnego przekonania, że właściciel jej jest kłusownikiem pierwszej wody, nie wolno wziąć, a kłusownik ma za dużo sprytu, by się dał w lesie ze strzelbą złapać. Nie wiem jak to się działo, ale pamiętam, że dla porządku w kraju, obdzierano nawet tapety w salonach, odrywano deski z podłóg, szukając prochu i broni! a dziś dla porządku łowiectwa, podniesienia kultury zwierzyny i tego tak znacznego dochodu w kraju, tyle ceremonii, by chłopu, który codziennie i w każdej porze kradnie zwierzynę z cudzej kniei, odebrać strzelbę. Sądzę i jestem najmocniej przekonany, że zmiana na lepsze kiedyś musi nastąpić. Wyjdzie ustawa i zaradzi złemu. Byle nie jak to słońce, co zeszło, gdy już rosa oczy wygryzła.

K. Rudnicki.

Żyrawa (powiat żydaczowski), w marcu 1890.

(Wczesne zajączki. — Bezkarne kłusownictwo).

Dnia 28. lutego, w ogrodzie między ulami, odebrał ogrodnik wronom i srokom dwa małe zajączki, z których jeden był już zadzióbany, a drugi lekko w głowę skaleczony. Kazałem malcowi rodu zajęczego robić zimne okłady, a wieczorem mój pacyent miał się już lepiej, bo puszczony na wolność, w wesołych podskokach skrył się między ule, gdzie czekał powrotu matki. Na drugi dzień już go tam nie znalazłem, bo go zajęczyca w innem bezpieczniejszem miejscu ukryła. Zapewne tych wczesnych zuchów nie dużo się wychowa, gdyż wrony, sroki i ostatnie śniegi wyniszczą je, a w dodatku i na kłusownikach nam nie zbywa.

W roku zeszłym, jeszcze 15 maja, wyjechałem konno do lasu, by przeglądnąć zwierzostan sarn, który teraz jest zadawalniający, bo z jednej strony lasu liczyć można 60—80 sztuk żerujących na oziminach. Ujechawszy lasem spory kawał, spostrzegłem w odległości nie większej, jak 300 kroków, wałęsającego się chłopa. Ostrożnie zajechałem go z tyłu i z za krzaków swobodnie obserwować mogłem, jak ten, z największym spokojem i cierpliwością, żółwim krokiem podkradał się do żerującej na halawce siutki. Obcesowo natarłem na niego, lecz skoczył w gąszcze i począł kluczkować w krzakach, upuszczając nieznacznie z ręki strzelbę na ziemię. Zabrawszy strzelbę, wróciłem do domu, a wykręciwszy naboje, przekonałem się, że była nabitą zwyczajem kłusowników, siekańcem grubo, niezgrabnie krajanym. Dnia 15 sierpnia dodnia, będąc podobnie jak i przedtem konno w lesie, udało mi się tego samego ptaszka, karmionego delikatnem mięsem siut, na zasiadce schwytać. Odebrałem mu strzelbę, a chcąc sobie go lepiej zapamiętać, ścigałem go między drzewami na sianożęciach już do sąsiedniej wsi należących. Wtem ściganemu kłusownikowi, którym był włościanin Jurko Kiziuk z Krechowa, zjawia się pomoc złożona z pięciu chłopów uzbrojonych w kosy, gdyż ci rankami tamże swoje łąki kosili. Chłopi opadli mnie z krzykiem, i byliby się może na mnie rzucili, gdyby nie pogróżka z mej strony, że mam nabitą strzelbę i żartować nie będę, poczem, odwróciwszy konia, odjechałem kierując się znowu ku lasowi.

Dziś jest już marzec a rok 1890, lecz kłusownik pomimo, że oskarzony, dotychczas nie jest ukaranym, prócz utraty dwu strzelb, więc też dalej kultywuje kłusownictwo, zastawiając żelaza, któremi tylko sarny kaleczy. *W. C.*

KRONIKA.

† **Artur hr. Potocki**

zmarł po długich cierpieniach dnia 25 marca w Krzeszowicach. Kraj utracił w nim jednego z najzacniejszych obywateli, drużyna myśliwska zaś jednego z najznakomitszych myśliwych, dzielnego i szczerze w łowiectwie rozmiłowanego towarzysza. Rzadko kto łączył w sobie tak harmonijnie rycerskość osobistą z szlachetnością duszy, gorący temperament z równie wysokiem poczuciem obywatelskiem. Pracować dla ojczyzny, służyć jej trudami osobistemi i mieniem, to było najwyższą zmarłego ambicyą. Uprawie racyonalnego myśliwstwa i rybołowstwa poświęcał też niejedną chwilę czynnego swego żywota, niejeden grosz magnackiej fortuny. Kraj cały opłakuje dziś zgon jednego z najlepszych swych synów, a drużyna łowiecka staje z żałobą w sercu u zwłok dzielnego druha. *R. i. p.*

Na wystawę łowiecką w Wiedniu zbiera się w Muzeum im. Dzieduszyckich coraz bogatsza i wspanialsza kolekcya okazów z pomiędzy naszych zwierząt łownych. Stoją już gotowe do podróży nad modry Dunaj: wspaniały jeleń ósmak (stojący) i dwunastak (leżący); odyniec sześcioletni, preparowany tak, jak padł w lesie, jedna z grubszych, a w oczach Niemców bardzo rzadkich sztuk, gdyż ważył po ubiciu 334 funtów; grupa trzech niedźwiadków, igrających koło pnia świerkowego i trzy wspaniałe wilki, dwie piękne wydry, zresztą bardzo charakterystyczne okazy lisów, między tem t. z. „żmijek" górskich, borsuków, zajęcy itp., przeważnie w pozycyi takiej, jak były po polowaniu na rozkładzie rozmieszczone.

Zapał i żarliwość, z jaką J. E. hr. Włodzimierz Dzieduszycki zajął się sprawą galicyjskiej wystawy łowieckiej w Wiedniu, dozwala rokować, że wypadnie ona ze wszech miar wspaniale, chociaż życzyć sobie należy żywszego niż dotąd i jak najspieszniejszego współdziałania innych miłośników łowiectwa, którym przypominamy, że ostateczny termin odsyłania okazów do Wiednia zapada z d. 15 kwietnia, że przeto muszą się jak najbardziej spieszyć, ażeby jeszcze znieść się w tej mierze z Sekretaryatem gal. Towarzystwa łowieckiego we Lwowie (ul. Teatralna 18).

Na polowaniach dworskich w dobrach rodziny cesarskiej, ubito w ubiegłym sezonie 234 jeleni, z tych w samym rewirze Orth 104 sztuk na Hodynin (Göding) przypada 85 sztuk. Ten ostatni rewir, położony w Morawie, także i pod względem ogólnego wyniku łowów na zwierzynę użyteczną, górował po nad innemi dworskimi rewirami; ubito w nim bowiem 35.751 sztuk zwierzyny, t. j. przeszło połowę tego, co dały wszystkie rewiry razem wzięte. Czwartą część ogólnej cyfry zdobyczy łowieckiej stanowią oczywiście króliki (13.932 sztuk). Zajęcy ubito w Göding 9.916, kuropatw 7.092, bażantów 4.591, rogaczy 123. W rewirach Holicz padło kaczek dzikich 1.343, zajęcy 3.846, kuropatw 3.401, rogaczy 58; w Raczkowie ogółem drobnej zwierzyny 3.046 sztuk, w Mattighofen 35 jeleni, 67 rogaczy i 115 sztuk drobniejszej zwierzyny.

Myszołów stepowy *(Buteo desertorum)*, ptak bardzo rzadki i w zbiorach krajowych nie znajdujący się dotąd, miał się w ostatnich czasach pojawić w Poznańskiem, Prusach wschodnich i zachodnich, Szląsku i w Marchii. Odróżnia on się od Myszołowa zwyczajnego *(Buteo vulgaris)* tem, że jest znacznie mniejszy i wogóle w ubarwieniu bardziej rdzawy; szczególniej ogon i nogawice ma rdzawe i miejsca brunatne na spodzie ciała w rdzawy kolor wpadające. Zdaje się, że całkiem tę samą *species* opisuje W. Taczanowski pod nazwą: Myszołów wschodni *(Buteo Martini Hardy)*, dodając, że w Lubelskiem i na Podlasiu zabił kilka okazów

i widział ich jeszcze więcej. Twierdzi on, że na Ukrainie jest ten ptak pospolitszym, lecz, że gdzieindziej w kraju go nie widywał. Warto zwrócić uwagę, czy przy obecnem pojawieniu się myszołowa stepowego w Wielkopolsce i na Szląsku, i u nas się on gdzie nie znajdzie.

Cywilizator. Nasza drużyna myśliwska nie może się jeszcze pozbyć tu i owdzie tych aroganckich cywilizatorów *von Draussen*, którzy w pismach niemieckich przechwalają się swemi łowieckiemi bohaterstwami — zapewne *in gut Jägerlatein verfasst* — nie szczędząc przytem pogardliwych przycinków wszystkiemu, co nasze. Jakiś taki na nieszczęście zabłąkany jeszcze w Galicyi „Forstverwalter" — (jakbyśmy zdolnych leśników Polaków nie mieli) — podał w Nrze 5. wiedeńskiej *Jagd-Zeitung* opisanie polowania na wilki. Szkoda wielka, że pan „Forstverwalter" ukrywa się pod inicyałami, i nawet miejscowości, gdzie polował, nie nazywa — gdyż mielibyśmy sposobność sprawdzić, o ile mówi prawdę — za to z całą arogancyą męża „*aus der civilisirten Scholle*", jak sam mówi, kreśli obraz „*eines jener schmutzigen und unwirthlichen galizischen Dörfer*", gdzie był zmuszony obławę na wilki urządzić. Oczywiście sam zrobił dubletę „*von zwei Capitalwölfen (!) — aber diese Treiber und Bauern!* Miły Boże! Musiał mieć do nich dopiero „*eine zündende Standrede*", (piękny to musiał być język!), a w ciągu tego wymienić „*Prügel und ausgerissene Ohren und sonstige Prämien*", ażeby mu za skrupulatnie obliczone 4 zł. i 23 centy służyli za myśliwych i nagonkę. Jakże to pięknie wygląda bohater rulujący dwa wilki za jednem złożeniem się na tem tle dzikiego „Bärenlandu!" Na szczęście cywilizatorów tak głupiej i aroganckiej sorty jest coraz mniej, że zaś mogą jeszcze trzymać „Standreden von Prügeln und ausgerissenen Ohren", i że ich samych za to nic podobnego nie spotka — niech panu Bogu dziękują i cicho siedzą.

Na łosie polowano dnia 4 i 5 marca w Grodzieńskiem, w majątku Sielec u p. Golcza. Gospodarz zabił łosia i odyńca, będącego postrachem okolicy. Goście z Warszawy mają także do zapisania niezwykłą zdobycz łowiecką; mianowicie p. L. Tem. zabił dwa łosie, a p. St. Dz. jednego łosia wagi 18 pudów. W ogóle padło 4 łosie i 3 dziki.

Warszawskie Towarzystwo racyonalnego polowania liczy już dotychczas 161 członków. Na ogólnem zebraniu, które się odbyło dnia 22 lutego, wybrano sekcyę polowań złożoną z 11 członków.

Wypadek na polowaniu. Hr. Iwan Draskowicz, znany myśliwy, mający swe posiadłości koło Pięciokościołów na Węgrzech, został na polowaniu na słonki d. 18 marca, przez postępującego za nim naganiacza tak ciężko postrzelony, że gdyby strzał był tylko o centymetr wyżej ugodził, byłby go trupem położył. Po dokonanej operacyi zdołano hr. Draskowicza utrzymać przy życiu i jest nadzieja zupełnego wyzdrowienia.

Wielcy nemrodzi. Powiadają, że polowania dzisiejsze nie wytrzymują porównania z łowami czasów przeszłych. Czyżby tak rzeczywiście było? Oto parę przykładów w obronie obecnego stanu rzeczy. I tak książę Ernest Koburgski, który w dniu 21 czerwca r. 1887 obchodził 50-letni jubileusz myśliwski, ubił 1.000 danieli. Na łowieckiej liście swojej książę liczy prócz tego 57.143 sztuk zwierzyny leśnej i 14.916 sztuk ptactwa. W listopadzie r. 1887 ubił hr. Karol Trauttmansdorff 50.000-nego zająca. Lista łowiecka hrabiego, prowadzona od dnia 16 lipca roku 1853, mieści 147.565 sztuk dziczyzny. Hr. Ferdynand Trautmannsdorf, który w czterech częściach świata na najrozmaitszą zwierzynę polował, a między innemi 8 tygrysów ubił, liczy w swym nadzwyczaj starannie prowadzonym dzienniczku po koniec 1888 roku 60.029 sztuk zwierzyny. Książę Ludwik Rohan zastrzelił w jesieni r. z. tysiąc-dwusetnego rogacza. Wszystkich jednak wielkich nemrodów dotąd wymienionych przewyższa lord Gray. Ten ostatni ubił dotąd przeszło 200.000 sztuk zwierzyny, a w tem znajdujemy lwy, tygrysy, jaguary itp.

Tępienie ptaków śpiewających stanowi rodzaj odrębnego rzemiosła w Turcyi. Skoro tylko nadejdzie jesień, znaczna część młodocianej ludności Konstantynopola wybiera się uzbrojona w klatki, pułapki, pręty lepem nasmarowane na pola okoliczne, gdzie niezliczone stada ptaków śpiewających odpoczywają przez krótki czas w podróży do stref cieplejszych. Tam rozpinają ci przygodni ptasznicy wielkie siatki i puszczają na przynętę szczygła na nitce, który świegotem swoim zwabia skrzydlatych wędrowców. Ptaki stadami całemi wpadają w zasadzkę, a ukryci ptasznicy zasuwają siatkę, łapiąc w ten sposób setki ptaszyn. Większa ich część umiera lub zostaje zabita na sprzedaż w mieście. U Turków bowiem „pilaf" — gotowany ryż z pieczonemi ptaszkami, jest wielkim przysmakiem. Najokrutniejszym sposobem łapania ptaków są lepkie kije; biedne ptaszęta gdy raz na nich siądą, nie są już w stanie się oderwać, a następnie zdejmowane przemocą, tracą prawie wszystkie pióra. Nawet w mieście dzieci robią sobie zabawkę z łapania ptaków. Na wyżej położonych tarasach widać codziennie ustawione sidła i lepkie kije na krzakach i drzewach, na balkonach stoją klatki z wabikami. Schwytane w ten sposób ptaszyny giną po krótkim czasie w niewoli, lub sprzedawane są handlarzom, którzy je zabijają. Jeżeli weźmiemy jeszcze na uwagę ilość ptaków śpiewających, które padają ofiarą nemrodów świątecznych i drapieżnych ptaków, to trudno się dziwić temu, że w Europie coraz mniej skrzydlatych śpiewaków.

Ptaki mówiące. Dotychczas istniało mniemanie, iż naśladować głos ludzki może jedynie papuga. Obecnie jednak, jak donosi „Pall Mall Gazette", wymieniony dopiero gatunek ptaków ustąpić musi swój monopol innemu, a mianowicie ptakowi Mynah, przywiezionemu z wyspy Zoo do Londynu. Mynah bardzo łatwo naśladuje głos każdego człowieka, a pojedyńczych dźwięków łatwiej go wyuczyć, aniżeli papugę, która przyswojone raz sobie dźwięki powtarzać będzie bez końca. Mynah łatwo przywyka do klimatu umiarkowanego i łatwo też się mnoży. Godnym uwagi jest fakt, iż organy głosu ptaków gadających podobne są do organów głosu ludzkiego. Jedyna różnica chyba w tem, iż samice mają głos grubszy, a samce cieńszy.

Jad do zatruwania strzał. Głośny dziś podróżnik afrykański Stanley, w liście ogłoszonym w „Scottish Geographical Magazine" podaje ciekawe szczegóły o truciźnie, którą dzikie ludy Afryki zaprawiają swe strzały.

„Zaciekawieni byliśmy bardzo — pisze Stanley — jaką mogła być trucizna, która wywiera skutki tak zabójcze? Wracając z Nyanza, aby dać pomoc postępującej za nami kolumnie majora Bartelota, zatrzymaliśmy się w Awizab. Tam napotkaliśmy wśród chat kupy wysuszonych mrówek czerwonych i dowiedzieliśmy się, że to właśnie ciała tych owadów, wysuszone i sproszkowane, a następnie wygotowane w cliwie palmowej, stanowią substancyę służącą do nacierania drewnianych ostrzy strzał. Ciała te, powtarzam, tworzą truciznę, która nam zabrała wśród strasznych cierpień tylu ludzi w kwiecie wieku. Dziwić się przychodzi, żeśmy co do tej rzeczy tak długo w nieświadomości pozostawali: owady, któreśmy napotykali, mogłyby nam dostarczyć materyału do wielu podobnych trucizn".

Stanley nadmienia też, że trucizna ta działa głównie w stanie świeżym: ranni umierają na tężec. Porucznik Staris raniony został strzałą, na której trucizna była już wyschłą i przygotowaną zapewne przed kilku dniami; wyzdrowiał on po trzech tygodniach, ale rana zabliźniła się dopiero po kilku miesiącach.

Połów homarów. Łodzie do połowu homarów nowego systemu urządzone są w ten sposób, iż wewnątrz posiadają rodzaj sadzawek z metalowym spodem, takiej objętości, aby naładować można w każdą około 3.000 kilogramów homarów. Statki te, wypływając na połów przy brzegach Korsyki, poławiają około 200.000 sztuk homarów rocznie, a konsumcya miejscowa jest tak znaczna, że samo Ajaccio spotrzebowywa ich po 60.000.

W Sardynii połów homarów odbywa się za pomocą długiej drabiny, a dokonywany bywa w przeciągu niespełna 8 miesięcy, bo od kwietnia do listopada, i zaopatruje tylko południową Francyę.

Załoga łodzi przeznaczonej na taką wyprawę składa się z 7 lub 8 ludzi. Najobfitsze połowy tak w Korsyce jak i w Sardynii, odbywają się w miesiącach maju i czerwcu. W tym bowiem czasie homary trzymają się miejsc nie głębszych jak 12 do 15 metrów, następnie zaś schodząc coraz niżej, opuszczają się do 40 metrów i niżej, przez co połów staje się więcej utrudnionym. Skorupiaki te, przewożone do Marsylii parowcami, utrzymywane bywały w koszach i dlatego w czasie wielkich upałów, marnowały się niekiedy w połowie. Nowozbudowane statki do łowienia homarów przy brzegach Korsyki posłużą niewątpliwie do rozwoju tego przedsiębiorstwa.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.